

SYNOWIE

ADOLF LEKKI

— Jak to, matko, rozumiecie?
Kobieta cofnęła się o krok.
Wiatr ciał piaskiem i kurzem, uginał
galezie drzew w pobliskim lesie, szalał
nad głowami ludzi zebranych na otwar-
tej polanie.

Grot stał nad nią. Patrzyła na niego
uporczywie. Dotykała wzrokiem każdej
rysy na jego przedwcześnie postarzałej
twarzy. Zatrzymała się dłużej na wy-
sokim czole. Zmienił się od tamtych
dni. Czaszkę przykryła mu błyskotliwa
plama łysiny, pełna, łwia twarz przy-
gasała i straciła urodę. Tylko oczy jak
dawniej świeciły niewygasłym żarem.
Wgłębiła się spojrzeniem w te oczy,
jakby przez nie dotrzeć chciała do naj-
tajniejszych zakamarków jego „ja”.

Grot nie czuł się dobrze pod tym ba-
dawczym, na wpół oskarżycielskim
spojrzeniem, nie czuł się dobrze po sło-
wach wypowiedzianych przez nią, gdy
w ludzkim tłumie zetknęli się twarz w
twarz: „Ty jesteś Grot, poznaję ciebie.
To ty zabrałeś mi synów”.

Bezwidnie wyprostował się i nie
mogąc dłużej znieść wymowy jej oczu
i milczenia ust zapytał po raz drugi:

— Jak to, matko, rozumiecie? Nie
znam was przecież.

Pokiwała głową jak człowiek litują-
cy się nad słabością drugiego, złożyła
ręce na piersi. Wkoło nich stały setki
ludzi, a ponad nimi hulał wiatr niosąc
do najdalszych leńnych ostępów słowa
apelu: „Wzywam na apel poległych
partyzantów Armii Krajowej oddziału
Wichra... Grot... partyzanów Armii Lu-
dowej Hardego... Zbika... Zawieruchy...
partyzantów Batalionów Chłopskich z
oddziałów Bartosza... Waligóry... party-
zantów radzieckich z oddziałów Proko-
piuka i Jakowlewa... Wzywam na apel
partyzantów poległych w walce o wol-
ność Ojczyzny na ziemi biłgorajskiej...”

Ludzie zbił w ciasną gromadę pow-
tarzali: „Cześć ich pamięci”, ludzie zbi-
ci w ciasną gromadę nie pozwalali
umknąć na bok przed spojrzeniami tej
starej kobiety.

— Nie znasz mnie? A przypomnij so-
bie jak przyszedłeś do mnie nocą...

W ulamkach sekundy przesuwały się
w pamięci dawno przeżyte obrazy i opi-
sy. Wreszcie... „Jak mogłem powiedzieć,
że nie znam tej kobiety? Przecież to
Tarasiukowa... Kolonia Wyrwy... samot-
ny dom stojący na skraju wsi...”

— To wy? ucieczył się teraz ze spot-
kania. — Po piętnastu latach, kto by
pomyślał!

Na twarzy kobiety pojawia się jakiś
grymas. Ni to uśmiech, ni to zapowiedź
płaczu.

— Jak wam się teraz powodzi?
Jak życie?

Grot zadaje dziesiątki pytań, byle tyl-
ko odepchnąć od siebie jak najdalej
wspomnienia tamtego wieczoru. Nie
czeka nawet na odpowiedź, nie jest mu
potrzebna. Ale pamięć jest uparta.

„Przeczytał mejdunek: Na stacji ko-
lejowej Krasne stoi transport materia-
łów pędnych zdążających w kierunku
Lwowa. Na piątym kilometrze za Kras-
nem tor jest zerwany, transport będzie
stał do czasu usunięcia przeszkody.
Pułkownik Józef wyraził zgodę na
akcję. Krótka odprawa... uzgodnienie
miejsc. Wybór padł na odcinek kole-
jowy biegnący między dwoma wzgórze-
mi pokrytymi wysokim starodrzewem.
Gęsto zbite podszycie lasu tworzyło tam
idealne miejsce na zasadzkę. Z Bole-
stawowa wymarsz późną nocą... Potem
był postój w kolonii Wyrwy. Zatrzymali
się w domu Tarasiukowej. Syn gospo-

dyni... jak on wyglądał, jak on wyglą-
dał?... Kos... Melina... Brzoza... Topór...
nie, żaden z nich... Prawda, przecież to
był kapral Drzazga... Wesoly blondas,
odważny: „Jestem Drzazga i będę wła-
dził szwabom za pazury...” Jak można
zapomnieć tę twarz z perkatym noskiem
i rojem piegów... Gospodyni przywita-
ła oddział zsiadłym mlekiem, łzami nad
synem, modlitwą za zwycięstwo party-
zantów i klątwą na Niemców... W go-
spodarstwie pomagał jej drugi syn, Ja-
nek, siedemnastoletni wyrostek. Przez
cały czas postojów oddziału wpatrywał
się w twarz dowódcy... Oddział odszedł
wzbogacony o jednego żołnierza, „Ku-
ropatwę”, rodzonego brata kaprala
Drzazgi. W chałupie została sama Ta-
rasiukowa, ze swoimi łzami, modlitwą
i złorzeczeniem”.

„Potem był wczesny ranek... Ogłusza-
jący huk miny wybuchającej pod ko-
łami pociągu, głośnie „hurraaaa” i ha-
niebny odwrót z pięcioma rannymi
i trzema ciałami kolegów. Przeklęty
pociąg pancerny, który poprzedzał
transport. Gdyby nie on, akcja na pew-
no byłaby się udała.

W cieniu wysokich drzew stał nad
mogilą, w której leżeli obok siebie dwaj
bracia. Czterogodzinny partyzant „Ku-
ropatwa” i wesoly kapral Drzazga...
Piętnaście lat, piętnaście lat!... „To ty
zabrałeś mi synów...”

— Już myślałam, że nigdy pana nie
spotkam.

„Będzie mi robić wyrzuty, będzie
złorzeczył mojej nieudolności... Prze-
cież sumienie mam czyste. Co ona mo-
że wiedzieć o partyzantce? Niechby
spróbowała bodaj przez miesiąc dowo-
dzić jednym oddziałem. Broń, amu-
nicja, żywność. Niechby odpowiedziała
gdy jej przyprowadzą nieznanego czło-
wieka, wróg to czy przyjaciel. Niechby
spróbowała podejmować samodzielnie
decyzje, od których zależało powodze-
nie wyprawy, niechby spróbowała wziąć
na siebie taki ciężar i odpowiedzial-
ność”.

— ...dopytywałam się o pana po woj-
nie, jeździłam nawet do tej wsi, gdzie
pan jest nauczycielem. Bo chciałam, bo
muszę panu powiedzieć... — ciągnęła
kobieta.

„...że jestem winien śmierci jej synów.
Słyszałem już takie słowa. Czy to nie
lepiej było zginąć niż słuchać tych wy-
rzutów. Błł się człowiek, podlewał zie-
mię krwią i potem. Potępiony był po
wojnie. Ci, co spokojnie siedzieli w do-
mach, do zaszczytów dochodzili. Ci, co
o walce nie mieli zielonego pojęcia, są-
dzili walczących. Za co siedziałem
cztery lata? Za co słuchałem codzien-
nie, żem zdrajca i wróg?... A zresztą
wszystko mi jedno co myślał i myśli
ktokolwiek. Wiem, że spełniłem mój
obowiązek wobec Ojczyzny, i gdyby
zaszła podobna potrzeba, spełniłbym
go po raz drugi... Dlaczego mam się
okłamywać? Nieprawda, że jest mi
wszystko jedno. Myślałem, że ludzie
zapłacą mi za krew miłością, że
będę miał prawo do dumy, przecież
mam to prawo... Oto stoją ludzie nad
grobami partyzantów i składają im
hołd... Czego się wstydzisz tej kobiety?
Podnieś czoło, spojrzij jej w oczy...
Nie o to chodzi, aby jej w oczy po-
patrzeć, w duszę trzeba by jej zajrzeć,
w samo serce. Co ona myśli? Co sądzi
o mnie?... Przecież robiłem wtedy co
mogłem, zawsze w najlepszej wierze...”

Co ona myśli o mnie? Popatrę jej w
oczy...”

Tarasiukowa przysunęła się o krok.
Podniosła ręce do jego twarzy, doty-
kała nimi zmarszczek. Ani drgnął, zapa-
trzyony we własną duszę.

— Ze zgrzyoty te zmarszczki, a nie
ze starości — zmieniła Tarasiukowa te-
mat i prawie natychmiast dokończyła
zaczęte uprzednio zdanie.

— ...Bo muszę panu powiedzieć, że
dochowałam do dzisiejszego dnia to
zdjęcie, które pan zostawił. Po wojnie
nie wiedziałam, czy pan żyje i chcia-
łam zdjęcie posłać do niej, ale nie zna-
łam nazwiska ani adresu. Może to już
nie ważne, ale chciałam wykonać po-
lecenie, tak jak oni...

Przygasty jej oczy, zmętniały. Od-
wróciła się na chwilę, przesunęła po
nich wierzchem dłoni. Grom poczuł, że
go chwyta coś za gardło.

Wtedy, piętnaście lat temu, Tarasiu-
kowa prosiła go o pamiętkę. Nie miał
przy sobie nic oprócz broni, amunicji
i zdjęcia dziewczyny poznanej przypad-
kowo w czasie partyzanckiego postojów...
Dziewczyna ukryta za kwiatem słonecz-
nika szerzyła w uśmiechu usta. Rozstał
się z tym zdjęciem bez żalu, rozstał się
z tym łatwiej, że sam wydał rozkaz za-
kazujący posiadania jakiegokolwiek
zdjęć. Śmiejąc się powiedział: Oddacie
mi to zdjęcie po wojnie... zamilkł na
chwilę, a potem dodał: gdybym zginął,
to trzeba będzie zdjęcie odesłać właścici-
cielowi...”

Grot przytulił twarz do ramienia ko-
biety. Trwali w tej pozycji, a obok nich
ludzie powtarzali: „Cześć ich pamięci”.

JOZEFA
RADZYMIŃSKA

Gałąź kwitnąca

Stary Japończyk ma oczy skośne
[jak dwie łódki,
ich spojrzenie żegluje po niebie,
po którym w krąg cichutko
płyną żagle białych gołębi.

Stary Japończyk ma sklep, który widzę
[ze swego okna
i codziennie mnie pozdrawia

[serdecznie —
a prócz sklepu ma wnuczkę, którą kocha,
małą wnuczkę o prześlicznym uśmiechu.

Raz spytałam tego Japończyka
patrząc w oczy skośne jak dwie łódki —
czy nie tęskni za Kwitnącą Wiśnią?
A on rzekł mi na to ze smutkiem:

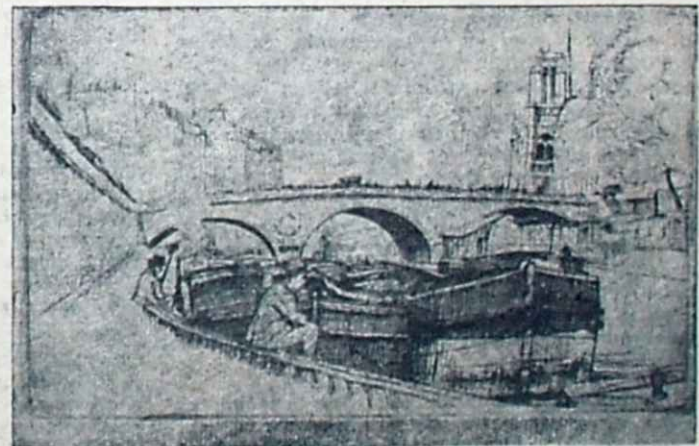
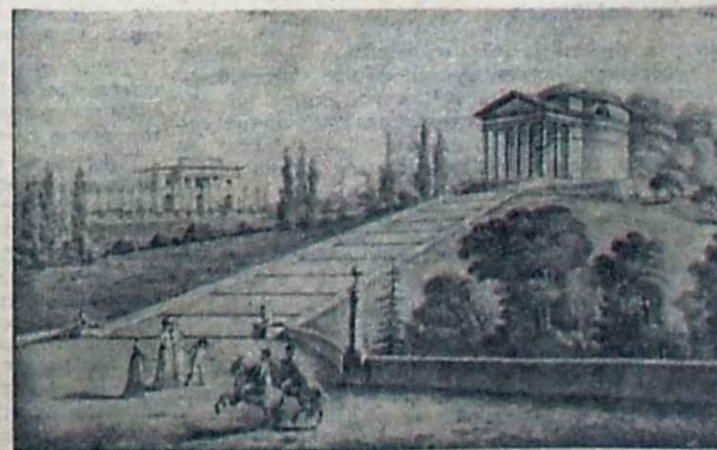
„Moja wiśnia rośnie w moim sercu,
tak przewiozłem wiśnię przez ocean,
i kwitnąca rozrosła się w sercu,
że już na nic miejsca we mnie nie ma”.

Pomyślałam: mądry jest Japończyk,
co ma oczy skośne jak dwie łódki,
gdy tak w sercu piękną wiśnię nosi
i zasłania się kwiatem przed smutkiem.

Tak ja — w sercu swoim zasadzę
gałąź białej kwitnącej Czeremchy
i nie będę już o niej marzyć,
i nie będą już więcej tęsknić.”

Buenos Aires, 1956.

W DNIU ŚWIĘTA ODRODZENIA

Józef Pankiewicz — Most na Sekwanie
akwarela

Malarz nieznanym — Panteon w Putawach, pocz. XIX w. — akwarela

O
T
W
A
R
T
O
M
U
Z
E
U
M
N
A
Z
A
M
K
U

Administrowanie to też sztuka

MARIA SZCZEPOWSKA

ARTYKUŁ Stepka z poprzedniego numeru „Kamery” swoją uroczą niekonsekwencją i akrobacyjnymi przeskokami od spraw czysto teoretycznych (czym jest kultura w ogóle) do zagadnień kulturalno-oświatowych w potocznie dziś używanym a bardzo wąskim tego słowa znaczeniu, mimochodem zahaczający o sprawy wychowania a nawet dość specjalne zagadnienie nagród dla młodych artystów i literatów, sprowokował mnie do odpowiedzi. Nie dlatego, że w artykule „Kultura straszy wśród pustych krzeseł” doszukałam się wrogiego mi stanowiska (Bóg świadkiem, nie tak nie cieszy jak przeciwnik strzelający gaffy), ale że znalazłam w nim szereg sformułowań działających na mnie jak czerwona płachta na byka.

Znając przebieg sesji kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej jedynie z relacji prasowych i ustnych z pewną ostrożnością muszę jednak zgodzić się z moim przeciwnikiem — obrady te przyniosły dość nikły rezultat. Stepka oburza to, a ja powiedziałabym najwyżej: to było do przewidzenia, bo nie nauczyliśmy się jeszcze demokracji i dodałabym: Chwała Bogu, że przynajmniej nie uchwalono żadnego rewolucyjnego głupstwa.

W normalnych czasach raz na sto lat zdarzają się sesje, które stanowią punkt zwrotny dla wszystkich organów wykonawczych. Nam jednak nie sądzono, było żyć w czasach normalnych, skutkiem czego przeżyliśmy trochę za wiele wstrząsów, zwrotów i rewolucyjnych przestawień na coraz to inne tory. Dlatego też ja osobiście z radością powitałam nudnawę nieco, ale rozsądne nihil novi, które dało się odczytać z referatu przewodniczącego sesji M. Wójcika.

Po czasach, które w sprawach kultury i sztuki były zaprzeczeniem zdrowego rozsądku, musimy zacząć od pewnych truizmów i prawd oczywistych. Prawdy oczywiste odgrywają pewną rolę w ciągach myślowych, a niesposób się bez nich obejść wówczas, gdy chodzi o działanie, a o działanie chodzi przede wszystkim w upowszechnieniu kultury i Stepek wie o tym dobrze. Jednakże z uroczą niekonsekwencją załamuje ręce nad małżeństwem biblioteki ze świetlicą, który to związek proponują czynniki oficjalne. Powiada, że to nic nowego, a w domyśle czytamy: więc nie warto nawet o tym mówić. I powiada także:

„Mało „nowego” zobaczymy na wytyczonych, uczęszczanych autostradach. Trzeba często zboczyć z drogi, przerywać ścieżki wśród gęstwiny, trzeba przejąć się pasją odkrywczą”.

Może to i słuszne, jeżeli chodzi o forsowanie dróg nowej sztuce, ale jeśli chodzi o upowszechnienie kultury, to pytam się, gdzie są te „wytyczone, uczęszczane autostrady”? i po co z nich zboczać, kiedy dotąd właściwie ich nie ma. Jeżeli już dalej będziemy ciągnąc to porównanie do ścieżek, dróg i autostrad, to dzisiejszy stan upowszechnienia kultury przypomina raczej dżunglę, w której wydeptane kiedyś ścieżki zarosły lianami i chaszczami. Odnaleźć te ścieżki, sprawdzić czy dziś, w 1957 roku, wiodą do celu tym samym co dawniej szlakiem, czy też trochę innym — oto nasze skromne, ale dość trudne zadanie.

A nad sprawą powiązania pracy biblioteki ze świetlicą warto się chwilę zastanowić. Przede wszystkim jednak małe sprostowanie. Nie chodzi tu o „małżeństwo” oświaty z rozrywką, ale raczej o swego rodzaju trójkąt małżeński: oświata, rozrywka i sprawy artystyczne, mówiąc jaśniej — o rozbudzanie zainteresowań naukowych i artystycznych w sposób dla odbiorcy przyjemny. Połączone wysiłki biblioteki i świetlicy mogą temu służyć. Nie jest to zresztą metoda nowa. Wypraktykowano ją w czasach przedwojennych. Później w okresie 1944—49 r. też dawała dobre rezultaty. Czy takie same rezultaty da dzisiaj — oto jest pytanie. Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie, bo wiemy, że od 1949 r. świetlice przechodziły bardzo zmienne koleje losu i wiele przeobrażeń, które w ostatecznym rachunku więcej wyrządziły im szkód niż przyniosły korzyści. W tej chwili przyszedł dopiero czas odnowy, ale czy i w jakim stopniu świetlice podolają ciężarom na nich obowiązkowi, doprawdy trudno odpowiedzieć.

Świetlice od paru lat stoją pod niemiłkącym ostrzałem krytyki, często słusznej, ale nieraz krzywdząco niesprawiedliwej. Przykład takiej krzywdzącej krytyki daje też Stepek.

„Jeden z dyskutujących opowiedział, jak przed wojną organizacja komunistyczna poprzez pracę kulturalną uzyskiwała wyniki polityczne. Proszę mi pokazać ten zapal dzisiaj, proszę pokazać szlachetne założenia: pracuję „w kulturze” nie dla pieniędzy, nie dlatego, że dostałem nakaz pracy, że do innego „działu” się nie nadaje...”

Znów sprostowanie. Praca kulturalno-oświatowa może, ale nie musi wiązać się z polityką. Przyznam się, że ja osobiście nie mogłabym wskazać na żaden konkretny przykład kształtowania dziś poprzez pracę kulturalno-oświatową poglądów politycznych jakiejś grupy, ale to tylko dlatego, że sprawy polityczne wypadły z orbity moich zainteresowań i nie śledzę tych zagadnień. Natomiast z całą pewnością mogę stwierdzić, że wśród pracowników kulturalno-oświatowych dużo jest ludzi pracujących nie dla pieniędzy, ale dlatego, że

STEFAN WOLSKI

Chrystus Powstania

Śniłeś tej nocy;
sen twój jak ręka kamienna posągu
przytłoczył cię do głębi
widzenia wszystkiego.

I widziałeś oprawców
z wrokiem podobnym do oczu szaleńca,
w chrapy rozdęte
chłonących czad śmierci.

Było to gdzieś na placu
między milczeniem rzeczy i krzykiem pożaru,
którego wulkan wybuchał nad miastem:
metafora niewoli,
liryka rozpacz...

Ciała leżały w prochu —
człowiek na człowieku
jak ogromny stóg snopów wichrem potrącony,
a obok reszta żywych,
jak kłosa na wicherze
czekające na kosę wichury
i ciszę.
Całe ulice ogniem nabrzmiały i dymem,
ryk i chichot pocisków rwał nad głową chmury;
i już nie było słychać
ni jęku, ni płaczu,
ni wołania o wolność,
ni klątwy istnienia.

Wtedy właśnie dziewczyna w gromadzie powstańców
schyliła się do kolan Boga
i prosiła:

„Ty jesteś, Chryste, jak cisza na morzu,
oczy Twe blasku pełne, dobroci i słońca.
A cisza wszakże dusze uśmierza spienione,
a słońce pocałunkiem łamie lodu skały.
Ty jesteś, Chryste, potężny w miłości,
Twoje usta jak lilie kwitną łagodnością
i słowo Twoje, podobne do zorzy,
przebija ciemność nocy,
gdy światło w niej tonie;
do Twoich dobrych dłoni przychodzą zwierzęta,
a ślady stóp Twych liżą niedźwiedzie i rysie...
O, Chryste, spojrzaj tylko.
Spod nóg Ci wytryska
jak chmura purpurowa

i płynie
krew ludzka.
A nad nią, jak sklepienie, ołowiane serca...
Wyciągnij swe ramiona,
spójrzaj w metal duszy
i powiedz im:
niech piekło zostanie za światem;
uczyni, by usłyszeli w sobie mowę Twoją
i jakoby w zwierciadle ujrzeli swe oczy...
O, uczyni,
Chryste,
by nie zabijali.

Natenczas Chrystus zadrżał
i z dna lęku szepnął:
„Kimże ja między wami?...
A ciebie strach ponosi,
i myśli ci się spłotyły,
i splątały wieki...”

Lecz dziewczyna błagała, prosiła, szlochała:
„Przemów do nich!
Tyś Ojciec,
a ja Twoje dziecko.
Dlaczego milczysz jeszcze?
Wszak wierzę w Twą siłę...”

Więc wyciągnął Bóg ręce jak znaki rozpacz;
wargi złamane żalem drgnęły ku nim gorzko;
i jęknął,
tak jak jęczy drzewo czasu burzy
i jak ciało całunem
łzami zakrył oczy.

Powstał ten, który rządził tutaj kosą śmierci
i szedł ku nim wolno,
miał bicz i broń w pięściach,
najeżdźca i podpalacz
o twarzy buldoga.
Patrzył długo, szyderczo
jak wąż na zwierzyń, potem
strzelił,
a Chrystus zgął się mu do kolan.
Wtedy obrócił oczy miedziane od łuny
i spojrział
na dziewczynę...

kochają swój zawód. Trudno mi wymieniać ich z nazwiska, bo nie mam zamiaru w tym miejscu sporządzić listy zasłużonych działaczy, a poza tym przyzwolici ludzie nie są od tego, żeby pokazywać ich palcem. Nawet w ferworze dyskusji.

A o żadnych nakazach pracy w dziedzinie kulturalno-oświatowej w ogóle nigdy nie słyszałam.

Jeżeli Stepkowi chodziło o spadek ideowości, który w ogóle daje się w tej chwili zaobserwować w naszym społeczeństwie, myślę, że można to było oględnie wyrazić. Zjawisko takie niewątpliwie istnieje, ale dlatego że istnieje, to jeszcze nie powód, żeby deprecjonować wszystkich pracowników kulturalno-oświatowych i traktować ich jako karierowiczów czy na odwrót — niedorajdów powyrzucanych z różnych instytucji.

A teraz druga strona medalu. Tak się złożyło, że w minionym okresie, kiedy na łapu capu tworzono świetlice, potworzono wiele martwych placówek, przyjmowano do pracy ludzi, którzy nie wiadomo gdzie się nadają, ale na pewno nie nadają się do pracy kulturalno-oświatowej. Potem przyszło opamiętanie. Trzeba było zrobić coś z tym fantem, który pożerał państwowe pieniądze, nie w zamian za to nie dając. Nie mając dość sił, żeby tchnąć życie w zięjące pustką lokale, zaczęto je zamykać. W ferworze likwidowania świetlic omal nie zamknięto także tych, które prosperowały. Tak było ze świetlicą prowadzącą rozsądną, dostosowaną do poziomu słuchaczy akcję odczytową, zespół taneczny i instrumentalny oraz dożywianie dzieci. Świetlica ta wywiera dodatni wpływ na dzielnicę, w której się mieści, i wśród swoich uczestników cieszy się serdecznym przywiązaniem. Jednakże niewiele brakowało do tego, żeby ją zlikwidowano. Oto typowy przykład stawiania problemu na głowie.

Mimo to, że w okresie po-październikowym w zapale naprawy strzelono parę byków, ogólna sytuacja na odcinku kulturalno-oświatowym znacznie się poprawiła. Kultura wiąże się nierozdzielnie nie tylko z warunkami ekonomicznymi, ale także z wolnością. W niewoli usycha. Nikt nie zaprzeczy, że teraz istnieją stokroć lepsze warunki dla rozwoju prac kulturalno-oświatowych niż w okresie stalinizmu.

Niektórzy niecierpliwą się, że mimo tych lepszych warunków jakoś na razie nie widać rezultatów prac kulturalno-oświatowych. Nie widać, bo rezultaty rosną razem z człowiekiem, a człowiek rośnie powoli.

Taką samą niecierpliwą widać w artykule Stepka, zwłaszcza w stawianiu zagadnień i rozwiązywaniu ich ad hoc. Oczywiście niecierpliwą ta wynika z jak najlepszych intencji, ale jednak...

A jeśli chodzi o sesję Wojewódzkiej Rady Narodowej, to nie ma powodu do rozpacz, że wynik jej był dość nikły. Ani sesje, ani urzędy nie zbudują naszej kultury. Kulturę tworzy naród. Prawdziwym działaczem kulturalnym jest ten, który jak katalizator przyspiesza pewne procesy kulturalne.

A urzędy? Urzędy z natury rzeczy powołane są do administrowania. Niech to robią jednak rozsądnie. Niech nie zamykają dobrych świetlic, niech nie zwalnają dobrych pracowników, wtedy wybaczymy im jedną nie bardzo udaną sesję.

Nagrody artystyczne WRN za rok 1957



Poeta i tłumacz Kazimierz Andrzej Jaworski otrzymał tegoroczną nagrodę literacką WRN za całokształt twórczości oryginalnej i przekładowej oraz za zasługi położone w redagowaniu czasopisma „Kamena”.

Za całokształt pracy malarskiej nagrodę otrzymał Jan Karmański, przedwojenny laureat francuskiej nagrody artystycznej Grand Prix d'Artiste, zamieszkały od trzydziestu lat w Kazimierzu Dolnym, który stał się częstym tematem jego obrazów.

Nagrodę dla działacza kulturalnego Lubelszczyzny przyznano dr. Zygmuntowi Klukowskiemu — za 37-letnie krzewienie i upowszechnianie kultury na terenie Zamojszczyzny.

Laureatem nagrody w dziale teatru został scenograf Teatru im. J. Osterwy, Jerzy Torończyk, którego wyróżniono za całokształt działalności artystycznej w teatrze lubelskim od momentu Wyzwolenia, ze szczególnym uwzględnieniem scenografii „Dziewczyny z wiatru” A. Obeya.

W dziale muzyki nagrodę przyznano Józefowi Talarczykowi, dyrygentowi Teatru Muzycznego w Lublinie — za kompozycję operetki „Mistrz Twardowski”.

NAJSTARSZE druki: „Opis miasta Łodzi” pła-Oskara Flatta (1853) i gawędy Wiktora Dłużnińskiego pt. „Paweł Łódzki Kubowiec” (1857). Wprawdzie „Scholastyk i szewc” (1857). Wprawdzie ukazuje się one jeszcze w Warszawie, ale już stanowią wyraz zainteresowania dla naszego miasta. Najdawniejsza powieść o Łodzi: „Bawelna” Wincentego Kosiakiewicza, drukowana w Petersburgu w r. 1885.

Najbardziej „łódzki” wczesny tomik poetycki: „Z mroku i dymu” (1901) Artura Gliśczyńskiego (wydany w Warszawie).

Najgłośniejsi pisarze polscy, którzy podejmowali problematykę Łodzi: Władysław Reymont („Ziemia obiecana” — 1899), Stefan Żeromski („Róża” — 1909), Andrzej Strug („Dzieje jednego pocisku” — 1910).

Pierwsi twórcy już urodzeni w Łodzi: Julian Tuwim, Witold Wandurski i Mieczysław Braun. Tuwim najwcześniejsze swoje wiersze drukował w r. 1911 w łódzkim „Głosie Polskim”.

Gdy ja zacząłem chodzić do szkoły, autor „Czyhania na Boga” zażywał już ogólnopolskiej sławy, był nieco oddaloną piękną legendą. Natomiast Wandurski tkwił w żywej walce miasta. Na murach niewielkie afisze obwieszczały repertuar „Sceny robotniczej”. W 1925 roku gruchnęły nad Łodzią (i nie tylko nad Łodzią) „Trzy salwy” z wierszami Broniewskiego, Standego i właśnie Wandurskiego.

W rok później wyszły „Sadze i złoto”, zbiorek ukazyjący już pełne oblicze robotniczego poety-działacza. Był to czas, gdy ulice często przemierzały pochody i demonstracje. Wandurski był z nimi. Gdy w czasie manifestacyjnego pogrzebu tow. Rychlińskiego policja zaatakowała kondukt i trumna osunęła się na bruk, Wandurski swym ciałem osłonił ją przed profanacją.

Tak został w mej pamięci: zrósł się trwale z walczącą Łodzią, z jej rewolucyjną tradycją.

Meteor nad miastem

Rok 1925. Założyliśmy pismo. My, tzn. Marian Piechał, Kazimierz Sowiński i ja. Osobliwością tego znakomitego pisma (nie wiem, dlaczego niezauważonego dotąd przez krytykę) było to, że ukazywało się ono w nakładzie jednego egzemplarza i przeto przeczytać je można było tylko w Miejskim Gimnazjum Męskim im. J. Piłsudskiego, gdzie wszyscy byliśmy uczniami.

Po gorących debatach zaakceptowany „przez redakcję” tekst przepisywało się na matryce. „Zośka” odbijał a właśnie, że odbijał, gdyż był nią Sowiński) numer na powielaczach w suterenie.

Po pewnym czasie wyruszyliśmy na podbój świata. Wprawdzie pieniędzy na wydanie „prawdziwego” pisma jeszcze nie było, ale już powstał program pierwszej w dziejach Łodzi grupy poetyckiej. Program kończył się słowami: „Niechaj rozpięte anteny waszych nerwów przyjmą każdy dźwięk natchnionego słowa! Otwórzcie zaryglowane okiennice waszych powiek na drogę prawdziwej Poezji!”

Myślicie, że kpię ze zdrowego rozsądku? Manifest nie mógł brzmieć inaczej, skoro pismo miało nazywać się „Meteor”.

Ostatnio nad Łodzią przelatywała jakaś kometa. Tak twierdzą uczeni w piśmie. A może to tamten meteor zaatakował za ojczystym miastem?

Skarby Percyka

Było ich pięciu. Wszyscy czarni i kudłaci. Podobni do siebie tak, że myliłem się, gdzie ojciec, gdzie syn. Przed wojną cała sztubacka Łódź znała drogę do Percyka. Księgarnia mieściła się w parterowym drewniak przy Piotrkowskiej i Wigury. Już przy wejściu słyszano gęsto książki zapowiadały przebogate skarby. Czegoż tam nie było! Zapach starych druków mieszał się z wonią egzotycznych krajów i śladzią wieków. Mnie najbardziej interesowała biblioteczka Zuckerkandla. Żółte tomiki zapaleńca ze Złoczowa uzupełniały moją szkolną lekturę. „O przyjaźni” Cyncerona, „Dzika kaczka” Ibsena, szkice o literaturze hinduskiej Świecickiego — ach, któż by zapamiętał wszystkie tytuły!

Percykowie byli urodzonymi księgarzami. Znal i kochali swój zawód. Poruszali się tak swobodnie wśród wieków i zagadnień jak we własnej ciasnej księgarni między stosami książek. Można było prowadzić z nimi długie, niewyczerpane dysputy.

Znali treść i smak każdej książki. No i cenę! Jakoż „u Percyka” można było i kupić i sprzedać. Cenę orzekali błyskawicznie i ściśle jak na aptekarskiej wadze. Można było dziesięć razy odchodzić od lady i klnąć z dziesięć razy powoływać się na najwyższy synhedrion — ustalona cena nie drgnęła ani o grosz.

Cóż było robić, sprzedawało się nieraz podręczniki szkolne, żeby tylko pójść do teatru na jakieś arcydzieło narodowego dramatu. Tak to bywało w czasach wyzysku...

No, no, nie przesadzajmy! Spuszczano się stare bryki, żeby lecieć do kina. Ach, ten Harry Peel! Jak on naparzał „czarną maskę”!

W terminie u Kadena

I maja Kaden brał ciężką łagę, wsadzał do butonierki czerwony goździk i szedł na pochód. Maszerował, oczywiście, z „frakami”.

Juliusz Kaden-Bandrowski był troskliwym opiekunem debiutantów. W moich wczesnych młodzieńczych latach prowadził dział literacki przy „Głosie Prawdy”. Pisane przez znakomitego stylistę „Odpowiedzi redakcji” stanowiły kapitalny poradnik dla początkujących.

Jak wielu ujrzałem farbę u Kadena: wydrukował mi dwa pierwsze wiersze.

— Niech pan zobaczy siebie w obiektywnej perspektywie druku. No? Trzymać się małej formy! Liryki!

Gdy wydałem swój pierwszy tomik „Nie ma mnie w domu”, odwiedził me mistrza. Bąknął, że wdziczyński itd.

Zdziwił się.

— Naprawdę? No, może pan nie jest świnią. A co pan przyniósł? Miłosne wiersze! Pan wzdycha, a ona... z tegim bydłakiem. Bliżej życia!

Podprowadził mnie do okna.

— Widzi pan to szare smutne podwórze? Jeśli idąc do mnie przez to podwórze, nie zobaczy go pan ciekawymi oczami — nie jest pan kandydatem na pisarza.

Fotografia z Tuwimem

Porządkując w szkole poroszyjską bibliotekę, znalazłem podręcznik łaciny z napisem: „Julek Tuwim prosi tej książki nie ściągać”.

Nagły skurcz serca! (Wiedziałem już, kim był Tuwim). „Dygot błękitnych czułych nerwów...”

Później, gdy się już z Tuwimem poznałem i spotykałem, powracało zawsze uczucie szkolnego onieśmienia. Zjawiskowy, niewytłumaczalny! Zawsze bił od niego wiosenny zapach poezji.

Ale Tuwim, opiekując się nami, nie miał w sobie nic z wyniosłości protektora.

Brał udział w naszych wieczorach literackich, a raz z grupką adeptów poezji poszedł do kawiarenki „Kresy” przy ul. 6-go Sierpnia.

Pił, ale i to czynił ze zniewalającym wdziękiem. W trakcie rozmów na tematy poezji (bo i o czymże mielibyśmy mówić) powstała myśl wspólnego zdjęcia.

— Chodźmy wszyscy, kto pisze? A pan? — zapytał przygodnego gościa — pan nic nie pisze? — był szczerze strapiiony.

Poszliśmy odwiedzić Mieczysława Brauna. Pierwszy raz! Mieszkał przy ul. 11 Listopada — obecnie Obrońców Stalingradu.

Okrucy rozbitego czasu

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Pamiętacie w „Kwiatach Polskich” ciepłe wspomnienie o Tyraspolskim? Tam dokonało się zdjęcie. Zostało umieszczone w „Tygodniku Ilustrowanym” w r. 1928. Tuwim na czele młodych poetów łódzkich: Mieczysława Brauna, Mariana Piechała, Światopełka Karpińskiego, Kazimierza Sowińskiego i piszącego te słowa.

Fotografia została prawie zapomniana.

Księgarz księgarzowi nie równy

— Proszę o „Weselu”.

— O weselu to w gazetach, u nas są książki.

Ten dialog w dzisiejszej księgarni, stwierdzający, niestety, ignorancję sprzedawcy, przypomniał mi (prawem kontrastu) starych księgarzy. Byli to wnikliwi znawcy swego zawodu, miłośnicy, ba — maniacy nawet.

Ale też sposobiono się do księgarskiego fachu latami. Jeden z najstarszych księgarzy łódzkich, znany Ludwik Fiszer, tak wspomina swoją młodość: „Jak każdy uczeń musiałem przejść przez wszystkie szczeble zawodowe, nie wyłączając zamiętania podłogi, sprzątanía, pakowania skrzyń i paczek. Następnym „etapem” było chodzenie na pocztę, kopiowanie listów w kopiale pod prasą i prowadzenie skorowidza korespondencji. Dalej — odkładanie do półek kwarantanny (ten termin zrozumieją księgarze) według wskazówek pomocników księgarskich, zaznajomienie się przy tym z podziałem książek na zasadnicze działy — i co było bodaj najważniejsze, nauczenie się na pamięć i na wyrywki alfabetu... To nie było takie proste: musieliśmy bez zwłoki i zająknięcia odpowiedzieć między jakimi literami jest np. M, P czy F. Dopiero w drugim — trzecim roku dopuszczano praktykantów do bezpośredniej pracy z klientami „na froncie” księgarni. Cały okres praktyk trwał 4 lata!”

Z księgarzy wyrastali wartościowi wydawcy: wspomniany już Ludwik Fiszer, Gebethner, Jan Wolf, słynny Jakub Mortkiewicz... Wydawcy i mecenas.

W korespondencji Żeromskiego czytamy: „Poczywy Mordka przysłał mi tysiąc rubli”.

W Łodzi księgarz Karol Neumiller wydał Światopełkowi Karpińskiemu pierwsze wiersze („Ludzie wśród ludzi” — 1929).

Ale były też wyjątki: Steinsberg (firma F. Hoesick, Warszawa) ufundował m. in. łódzkim poetom „bibliotekę”. Tylko każdy dopłacał do tomiku 200 zł.

Broń nas, Boże, od takiej „fundy”!

Rozmowa ze szpicielem

W czasach studenckich jedną nogą byłem w Warszawie, drugą (raczej nie nogą lecz sercem) w Łodzi. Kiedyś przyjechał Ludwik Hieronim Morstin. Wyglądał odczyt. Atmosfera była naprężona, jakoż „czer-

wony hrabia” rozważał stosunek komunizmu do inteligencji.

Naraz w ferworze dyskusji, gdy ktoś zacytował Słowackiego „myśmy przyszli nawracać, wy — wyrzynać”, na sali huknął głos: „zamykam zebranie za antypaństwowe wystąpienie”.

Szpicel — wysoki, w czarnym palcie, w długich butach.

— Padło słowo „wyrzynać”!

Później ów „anioł” z opieki aspiranta Brylaka (byłem już notowany w kartotece policyjnej jako „pisarz komunizujący”) wszedł za mną laził.

Wracalem z któregoś tam kolejnego odczytu wygłoszonego w TUR-ze. Przyśpieszone kroki. On!

— Nudno samemu. Pan i tak wie, że za panem chodzę.

Chwila milczenia.

— Wie pan, bywam na wszystkich pańskich odczytach. Szkoda pana...

— Nie rozumiem.

— Ile oni za to panu płacą?

— Kto?

— No, komuniści.

— Nikt mi nic nie płaci.

— No to się dźwię.

— A ile panu płacą?

— Marny chleb. Myśli pan, że przyjemny. Ja pana polubiłem, a muszę za panem chodzić. Co pan robi? Sam przeciw całemu państwu!

— No, nie tak bardzo sam. Gdy ludzie zrozumieją potrzebę rewolucji, wtedy...

— Przerywam rozmowę. Pan mnie agituje!

Kim był adwokat Braunsztajn?

Poszliśmy odwiedzić Mieczysława Brauna. Pierwszy raz! Mieszkał przy ul. 11 Listopada — obecnie Obrońców Stalingradu.

Braun żył prawie podwójnym życiem. Łódzka paleta nie podejrzewała, że arcytrzeźwy adwokat Mieczysław Braunsztajn (bo takie było prawdziwe nazwisko Brauna) w skrytości serca i ciszy nocnej pisuje wiersze. Pierwsze wejście i wrażenie nie było korzystne: starannie utrzymany pan, po mieszczańsku solidny, idealnie pasował do ram typowo mieszczańskogo pokoju. Ale rozmowa zdradziła prawdziwego poety, wrażliwego i czulego. Zrozumiałem później, że autbr „Rzemiosł” i „Przemysłów”, żyjąc i obracając się w środowisku do cna zmerkantyzowanym, musiał maskować głębię swoich uczuć.

Zaprzyżębiam się z Braunem, odbywaliśmy „długie, nocne rodaków rozmowy”.

Ostentacyjnie podkreślał swoją „europejskość”, a niechęć do Związku Radzieckiego. Wschód! Żywił taką wiarę w naród Goethego i Beethovena, że w obliczu najazdu hitlerowskiego nie zawahał się pozostać w Polsce. Był wprawdzie we Lwowie, ale powrócił.

— Przecież Niemcy to Europa!

Na czas wojny los nas rozdzielił. Gdy wróciłem z obozu, S. opowiedział mi wydarzenie, które dla mnie miało podwójnie wstrząsającą wymowę:

— Po powstaniu w getcie — mówił S. — kupiłem na Kercelaku poduszkę. Coś mnie uwierało w niej przy spaniu. Sięgnąłem do środka: rękopisy i zwitek papieru z „danymi” Mieczysława Brauna, zapisany starannie ręką poety.

O Mieczysławie! Europa?!

Zepsuta opinia

Opinia! Dziś mniej znaczy. Skompromitowanych polityków na przemian „wyprowadza się” i „wprawdza” (przyjęta nomenklatura). Ale dawniej?

Nie tylko panna (ostrzeżenie Zapolskiej), ale i polityk bali się „upadku”.

Nadzwyczaj rzadko zdarzało się, by opinię można było „zepsuć” kilkuset tysięcznemu miastu. A jednak taki los spotkał Łódź.

W 1907 roku Zygmunt Bartkiewicz napisał o Łodzi opowiadanie pt. „Złe miasto”. „Jest w Polsce takie miasto złe” — wołał Bartkiewicz.

I już stugębna fama rozniosła tę opinię po całej Polsce.

Minęły lata, lecz coś z dawnej plotki pokutuje. Jak dawniej Łódź traktowana jest po macoszemu. Sypią się nieremontowane domy, brak pomieszczeń szkolnych, nawala komunikacja.

Z trybuny sejmowej brzmi rozpaczliwy apel Ajnenkla:

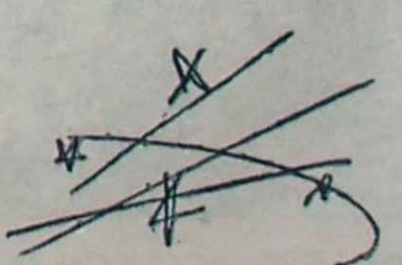
— Pomóście Łodzi!

W ministerstwach wzruszają ramionami: złe miasto!

A jednak są, którzy to „złe miasto” kochają miłością szczerą, dogłębną.

Przypomnę jeszcze raz Tuwima:

...kocham twoją „urodę złą”,
Jak matkę niedobrą dziecicę.
Kocham twoich ulic szarą i czarną,
Najdroższe miasto na świecie!



JEST coś z powiastki filozoficznej w tej komedii zaprawionej goryczą. Anouilh nigdy nie śmieje się bez troski, szczerze, jak słynni humorysty i komediopisarze francuscy. We wszystkich jego sztukach, zarówno „czarnych” (ponurych), jak i „różowych” (pogodnych) powtarzają się w różnych wariantach podobne motywy: wstręt do hipokryzji, do kompromisów, tęsknota za uczuciami czystymi, szlachetnymi. Anouilh nie wychodzi z kręgu tych tematów. Z sarkastycznym uśmiechem patrzy na ludzkie sprawy nawet wtedy, gdy pisze wesołą komedię w rodzaju „Zaproszenia do Zamku”.

Anouilh nie lubi zwracać uwagi na swoje życie osobiste. „Nie mam biografii i jestem z tego bardzo zadowolony” — napisał w liście do Huberta Gignoux, który rozpoczął pracę nad książką poświęconą twórczości autora „Antygony”. Było to krótko po wojnie, gdy Anouilh miał trzydzieści pięć lat i legitymował się już poważnym dorobkiem pisarskim. Nie lubi zwierzeń osobistych, nie lubi także opowiadać o swym warsztacie dramaturga. We wczesnej młodości był pod wpływem Pawła Claudela, później podał się urokom teatru Jana Giraudoux; „Zygfryd” wywarł na nim tak silne wrażenie, że zdecydował o powołaniu dramaturgicznym młodziutkiego pisarza, który próbował różnych zajęć zanim poświęcił się wyłącznie teatrowi. Przez dwa lata pracował w biurze reklamowym, gdzie — jak mówi — nauczył się precyzji stylu i pomysłowości. Potem był sekretarzem Ludwika Jouvet. Bliski, codzienny kontakt z teatrem pozwolił mu zapoznać się ze specyfiką rzemiosła scenicznego, którego jest mistrzem nie lada. Ale Jouvet, odkrywca i entuzjasta talentu Jana Giraudoux, nie raczył zauważyć talentu dramaturgicznego swego sekretarza i nigdy jego sztuk nie inscenizował.

Jean Anouilh jest poetą i marzycielem. Snuje marzenia o ludzkim losie i stwarza postacie w pewnym sensie syntetyczne, bo zaobserwowane we współczesnym świecie, lecz często przeniesione w odległe epoki. Z pasją wyłuskuje trwałe, nieprzemijające, ogólnoludzkie cechy, które są realne zarówno w naszych czasach, jak i w starożytności czy w średniowieczu. Do najlepszych jego utworów należą współczesne mity antyczne, wśród których króluje „Antygona”, napisana w roku 1940, a po raz pierwszy wystawiona w Paryżu w r. 1944. W żadnej z następnych sztuk nie doścignął dotychczas Anouilh dojrzałości artystycznej i głębi psychologicznej „Antygony”. Odziana w szaty antyczne bohaterka tego dramatu przeżywa konflikty wewnętrzne współczesnego człowieka; świadomie wybiera śmierć jako jedyną drogę do uniknięcia kompromisów i ocalenia czystości uczuć, a jednocześnie jako wyzwolenie z dręczących ją niepokojów. Motyw ten wraca w napisanym kilkanaście lat później „Skowronku” (1953), gdzie Joanna d'Arc przyjmuje podobną postawę. Anouilh otacza tkliwością bohaterkę dramatu jako wyrazicielkę godności osobistej, prawdy i bezkompromisowości. Ale „Antygona” góruje nad „Skowronkiem” klasyczną prostotą konstrukcji, lapidarną zwięzłością języka dialogów i precyzją analizy psychologicznej, która sprawia, że widz angażuje się uczuciowo w konflikty postaci dramatu.

W ostatnich latach spotkało Anouilha na scenach paryskich parę niepowodzeń. Krytykowano go ostro, a nawet z pewnym zniecierpliwieniem, bo jest on autorem, od którego wszyscy

ANOUILH NA SCENIE LUBELSKIEJ „Zaproszenie do Zamku”

ZOFIA KARCZEWSKA - MARKIEWICZ

oczekują sztuk najwyższej klasy. „Zaproszenie do zamku”, które obecnie dopiero w dziesięć lat po prapremierze paryskiej dotarło na polskie sceny, świetnie reprezentuje mistrzowską formę sceniczną Anouilh'a. Typowa komedia intrzygi (tak często we Francji od Moliera i Marivaux po współczesnych pisarzy), zbudowana na zasadzie tradycyjnej recepty z figurami intrygantów, wyzyskiwaczy, głupców i kapitalnym sługą-filozofem, rozgrywa się na kanwie omalże baśniowego wątku: nowoczesny kopciuszek — tancerka z baletu — robi karierę na balu w arystokratycznym zamku. Autor umiejętnie dozuje efekty komiczne, plażąc postaci w coraz to bardziej skomplikowane nieporozumienia. Najwięcej zabawnych quiproquo dostarcza para bliźniaków ludzko do siebie podobnych fizycznie, choć o skrajnie różnych charakterach i uosobieniach.

Lecz w tej komedii naszpikowanej dowcipem, który raz po raz każe myśleć o farsie bulwarowej, wyczuwa się w gruncie rzeczy satyryczną postawę autora i jego pesymizm, nie pozwalający mu nigdy śmiać się „pełną gębą”. Nad humorystą góruje tu zdecydowanie moralizator, który ubiera w formę komediową swoją powiastkę filozoficzną o tym, że pieniądź ludziom szczęścia nie daje. Myśl tę wyraża sugestywnie przede wszystkim na przykładzie Messerschmanna, bogatego finansisty i jego córki Diany. W tradycyjnym układzie tej komedii intrzygi Messerschmann jest zresztą jedyną postacią na wskroś nowoczesną.

Znakomicie uwypuklono specyficzny, zlekka sarkastyczny ton tej komedii w lubelskiej inscenizacji „Zaproszenia do zamku”¹⁾. Przedstawienie to świadczy o wnikliwym wyciuciu się w tekst, o zrozumieniu odrębności sztuk tego pisarza. Nie bez znaczenia jest tu fakt, że kierownikiem literackim lubelskiej sceny jest Maria Bechzyć-Rudnicka, znawca francuskiego teatru oraz tłumacz francuskich sztuk dawnych i współczesnych.

Oczywiście nasuwają się porównania z niedawną inscenizacją warszawską „Zaproszenia do zamku”. W warszawskim Teatrze Współczesnym uwypuklono przede wszystkim elementy krotkowilne tej sztuki. Oglądaliśmy na tej scenie popis świetnej gry aktorskiej, sprawnej reżyserii i farsowego humoru. Ale w tej znakomicie zorganizowanej i wykonanej błazenadzie zatępiły się charakterystyczne cechy komedii Anouilh'a, jej zaprawiona gory-

¹⁾ Jean Anouilh „Zaproszenie do zamku” przekład Marii Serkowskiej, Państwowy Teatr im. J. Osterwy w Lublinie, reżyseria Marii Straszewskiej, scenografia Jerzego Torończyka.

czą ironia, która w Lublinie doszła do głosu przede wszystkim dzięki wykonawcom dwóch ról: Messerschmanna (Aleksander Aleksy) i jego córki Diany (Irena Miszke). Z zaciekwaniem obserwowalam, jak twórcza praca nad tekstem zmieniała ekspresję sztuki; w tym wypadku zresztą zgodnie z intencją autora. Przejmujące akcenty zabrzmiały w scenie rozmowy Messerschmanna z córką. Wyczuwało się tu jakąś bolesną, ludzką tragedię, nie pozbawioną niestety aktualności. Niejednemu teatrowi może pozazdrościć Lublinowi tak wrażliwego aktora, jakim jest Aleksander Aleksy, który potrafił z niewielkiego stosunkowo tekstu wydobyć wzruszające uogólnienie. Pomimo groteskowej nieco charakterystyki postaci ta nie wywoływała złośliwego śmiechu. Ze zdumieniem wsłuchiwałam się w tę partię tekstu, która w spektaklu warszawskim przechodziła jako „mimo uszu”. Irena Miszke z wyjątkową u tak młodej artystki dojrzałością środków aktorskich zagrała rolę Diany Messerschmann, wyrażając jej gorycz, rozczarowanie, a jednocześnie drapieżność w walce o miłość Horacego. W tej młodej dziewczynie nie było odrobiny liryzmu, ani tkliwości uczuć. Bezwzględna, wyrachowana, z zimną krwią zwalczała groźną rywalkę w postaci Izabelli, którą Maria Możdżeniówna zagrała z ujmującą szczerością; była rzeczywiście młodziutkim, świeżym dziewczęciem o naiwnym spojrzeniu, lecz — niestety — zbyt słabym głosem i fatalnej dykcji (tylko urywane słowa docierały na widownię).

W roli bliźniaków Horacego i Fryderyka widziałam Zbysława Jankowika (w drugiej obsadzie gra ją Stanisław Mikulski). W przedstawieniu warszawskim zabłysnął w tej roli wirtuozem środków aktorskich Andrzej Łapicki; zbudował ją głównie środkami zewnętrznymi, zmieniając układ ciała, pochylenie głowy, chód, sposób noszenia ubrania. Jankowiak wystudjował pilnie raczej cechy psychiczne bliźniaków, oddając je sugestywnie wyrazem twarzy, spojrzeniem, wewnętrznym przeżywaniem sytuacji. Był może mniej błyskotliwy w formach towarzyskich, ale i mniej marionetkowy, choć autor narysował tę rolę trochę w stylu kukielki poruszanej sznurkami skomplikowanej intrzygi.

Maria Wojdalińska nie zdołała niestety podać dość wyraziście świetnych puent zawartych w replikach ciotki bliźniaków, Pani Desmormortes, przez co niejednemu dowcip Anouilh'a stał się niewypałem. Skupioną, poważną maską kamerdynera Józefa miał Andrzej Chmielarczyk, który jednak nie wygrał ironii tego inteligentnego służącego. Lech Skolimowski nakreślił zabawną, nerwowo ruchliwą postać światowca Romainville'a. Maria Górecka jako matka Izabelli robiła wrażenie postaci z operetki, a Zbigniew Woytowicz (Ptryk Bombelles) i Elżbieta Kuske (Lady Doro India) błakali się raczej na marginesie tej komedii. Natomiast udaną, żałośnie śmieszna, lecz wzruszającą postać Panny Capulat stworzyła Halina Łuszczewska, która zdołała uniknąć efektów groteskowych (rażących w spektaklu warszawskim).

Jerzy Torończyk zaprojektował uproszczoną, lecz sugestywną i estetyczną oprawę plastyczną spektaklu; przypomina ona skromne dekoracje spotykane często na scenach paryskich, gdzie elementy plastyczne nie dominują natrętnie, jak to się często zdarza w naszych teatrach. Zresztą i pod tym względem teatr lubelski świetnie utrafił w styl utworów Anouilh'a.

ORYGINALNY program spektaklu (redagowany przez kierownika literackiego teatru) zwraca uwagę na satyryczny ton „Zaproszenia do zamku”, prezentując serię teatralnych karykatur Daumiera, cykl nader złośliwych rysunków, opatrzonych dowcipnymi aforyzmami.

W sumie „Zaproszenie do zamku” na scenie lubelskiej trzeba zanotować jako udaną, interesującą poycję. Odwiedziłam ten teatr z niemalym wzrusze-

W jednej ze swych „niebieskich kartek” zastanawiał się Adolf Rudnicki nad tym, co w powieści jest ważniejsze — ocena czy obraz. Dochodzi do przekonania, że współczesność szuka w literaturze raczej oceny, dla potomnych przostanie obraz. W tej perspektywie „produkcyjniaki” mogą być za lat kilkadziesiąt wcale ciekawą lekturą. Powiadano, że zarzucał ktoś Brandysowi „wielkość”, że w rzeczywistości w „Obywyślności” żartobliwie, że to nie szkodzi, ponieważ obecnie nie ma możliwości wytknąć mu tego, późniejsze zaś pokolenia nie będą wiedziały, jak było naprawdę.

Pocieszające tłumaczenie, prawdę? Bądź co bądź anegdota ta winna być włączona do nauki o literaturze jako zwięzła i obrazowa charakterystyka swego czasu. Jest ona cenna z jeszcze jednego względu: wyraża świadomość literatów, że zawsze znajdują odbiorców swego towaru, czy to za pomocą administracyjnego upowszechniania, czy też dzięki modzie lub ciekawości. Przypomina mi się tu mocne powiedzonko ludowe:

Mały pisze dla zabawy, (także „dla chleba”), głupi czyta, bo ciekawy. Jest w tym dwuwierszu i gorycz zawodu i bezsilna poniekąd obawa, i oczekiwanie od literatury pomocy, wypływające z pedu samokształceniowego. Literat wie o tym i to jest jego bieżąca wyściółka. Posiada on bowiem tę przewagę nad czytelnikiem, że jest niejako w ofensywie, tymczasem czytelnik zajmuje postawę bierną — może najwyżej wybierać i to często po omacku.

Okiem zgrzyziórnika

Popularność i współczesność

Niemniej jednak to atut większy, niżby się zdawało. Decyduje on w dużym stopniu o obliczu literatury. Niewielu bowiem jest pisarzy, którzy nie liczyli się z gustami i zapotrzebowaniem czytelników. Postawa ta wymaga i heroizmu, i wystronnej świadomości. Najczęściej literat traktuje literaturę komercyjnie i wówczas nie tylko ulega prawu popularności, lecz staje się ono dlań jedynym kryterium, tak jak opisał to Marceński niespełna przed rokiem w „Przeglądzie Kulturalnym”. Przeczytał w bibliotece kilka najpopularniejszych książek i w ten sposób wychwycił to, co najbardziej bralo niewybrednego czytelnika. A że ci niewybredni stanowią najpotężniejszą armię, więc i Marceński cieszył się ogromną pocytnością.

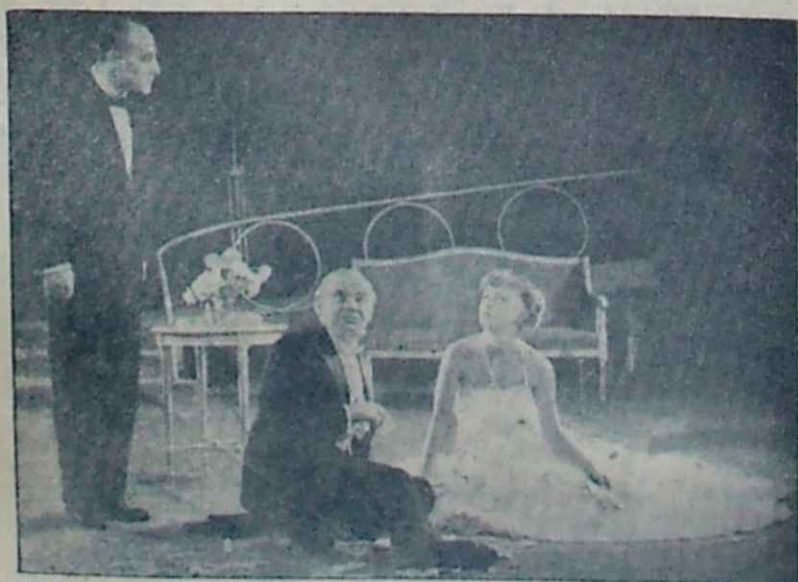
Popularność bazuje na innym jeszcze czynniku: modzie. Dziś nasza literatura przechodzi wysypkę współczesności czy nowoczesności (oba terminy stały się wymienne). Problem ten wszyscy rozważają. W zasadzie nowoczesność polega na wyprzedzaniu i urabianiu gustów. Nasza nowoczesność polega na wychwytywaniu i przyswajaniu zagranicznych zjawisk kulturalnych, na szoferko wulgarnym języku Hlaski, na szpikowaniu pism aktami, streep-tease i ekstrawagancjach (nie mających nic wspólnego z „wybrkami” awangardowymi)...

Ta współczesność, jaka zrodziła się i rozwija na naszych oczach, stworzyła świetny modus vivendi dla popularności i nowoczesności. Dlatego w najlepszej sytuacji zdaje się być trzecia, pośrednia kategoria literatów, tych, którzy nie chcą rezygnować z ambicji pisarskich a zarazem z popularności. Mogą paść i Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek. Tylko że sprawa w pewnym sensie jest dość skomplikowana, bo trudno ustalić, co to jest diabeł, a co Panem Bogiem.

W każdym razie pozostaje z owego modus vivendi pewna szansa dla czytelnika (tego przeciętnego): wyjście poza krąg Kraszewskiego, Rodziewiczówny, Marceńskiego i Mnisiakówny, nie mówiąc już o wielu innych „działach” zaczytanych (dosłownie) szmiry). Mam tylko wątpliwość czy lamigłówni kryminalne, które nie są wcale tak sensacyjne, jak się wydaje, nauczą dobrze myśleć.

*) Wymienienie nazwiska Kraszewskiego w tym zestawie jest chyba przesadnym „zgrzyziórstwem”.

(Dopisek red.)



Maria Możdżeniówna (Izabella), Aleksander Aleksy (Messerschmann), Andrzej Chmielarczyk (Józef)



MUZEUM LUBELSKIE OTWARTE

STANISŁAW MICHALCZUK

MOŻE to się wydać śmieszne po tylu latach istnienia muzeum w Lublinie, ale obecne otwarcie tego „magazynu kultury” trzeba traktować jak najbardziej poważnie jako właściwe otwarcie Muzeum Lubelskiego.

O fakcie tym nie decyduje oczywiście nowa siedziba — prawa część Zamku, przebudowana i wykończona z wielkim nakładem pieniędzy, pracy i czasu, — decyduje o tym jakości zbiorów i sposób ich eksponowania.

Dyr. I. Iskrzycka i pracownicy Muzeum postawili przed sobą bardzo ambitne zadania i rzeczywiście potrafili je zrealizować, dając Lublinowi i Lubelszczyźnie rzetelnie przygotowaną i doskonale wyposażoną (biblioteka, pracownie) placówkę kulturalno-naukową.

Godząc się z tym, co o roli muzeum zostało już napisane i powiedziane, trzeba jeszcze dodać, że rola ta jest szczególnie ważna w mieście, gdzie studiuje kilka tysięcy młodzieży, gdzie kilkadziesiąt osób (na Wydziale Humanistycznym KUL) studiuje Historię Sztuki. Ale muzeum jest nie tylko terenem „życia i śmierci” dla historyków sztuki, znajdują w nim również, szczególnie w Galerii Malarstwa, dużo materiału do poznania, przedyskutowania, odrzucenia lub naśladowania (tylko z umiarem) „starzy” i „młodzi” lubelscy plastycy.

Duże sale, obszerne halle, szerokie korytarze i klatka schodowa, wygodne „połączenia komunikacyjne”, duży dopływ światła dziennego i zastosowanie „odbitego” światła sztucznego — umożliwiają właściwe eksponowanie zbiorów i ułatwiają zwiedzającym oglądanie. Z wielkim znanstwem i gustem urządzono wszystkie wnętrza. W salach i na korytarzach ustawiono nowe gabloty, dostosowane swą budową i wyglądem do charakteru zbiorów, dające dobrą oprawę eksponatom.

Salę wystawową zajmują parter, gdzie wystawiono zbiory archeologiczne i Sztukę Ludową, oraz piętro — przeznaczone na Galerię Malarstwa i przemysł artystyczny, zagraniczny i polski.

KRÓTKI przegląd wystawionych zbiorów zaczniemy od stałej Galerii Malarstwa Polskiego, której zorganizowanie jest na pewno największym osiągnięciem Muzeum, tym bardziej, że zorganizowano ją nadzwyczaj celowo (kładąc główny nacisk na jakość dzieł), nie pokazując „wszystkich nazwisk” i wszystkich zebranych obrazów, ale naprawdę wartościowe i ciekawe dzieła, dające zarówno zwiedzającym jak i naukowcom zupełnie nieprzeciętny obraz polskiego malarstwa.

Maly tryptyk z Assuntą w głównym polu, predella z bardzo ciekawą sceną męczeństwa św. Urszuli, skrzydła tryptyku m.in. z typowymi scenami Zwiastowania i Narodzenia, Narodziny Matki Boskiej — dzieła cechowe szkoły Krakowskiej z XVI w. ilościowo skromnie, zato świetnie jakościowo ilustrują wspaniałą twórczość cechowych mistrzów, anonimowych autorów pięknych krakowskich tryptyków i po-

wiecz, Czyżewski (Martwa natura z bukietem), Larisch (Kwiaty), Kowarski (Pejzaż ze złamanym drzewem), Weiss (Pejzaż).

W przylegającym do sal Galerii korytarza wystawiono przemysł artystyczny. Zagraniczne tkaniny pochodzące od XVI w. i ceramikę — wartościową i ciekawą część zbiorów Lubelskiego Muzeum (m.in. XVIII i XIX-wieczna porcelana z Miśni).



M. Bacciarelli — Król Stanisław Poniatowski (replika)

liptyków. Ten gotycki obraz polskiej sztuki dopełnia drewniana figura Matki Boskiej pochodzenia śląskiego.

W porządku chronologicznym oglądamy religijne malarstwo XVII w., m.in. ciekawy obraz „Ukrzyżowanie” z okolic Lublina, jeszcze z tradycyjnym złotym tłem.

Na uwagę zasługuje zbiór portretów (portrety trumienne XVII w., portrety szlachty tzw. sarmackie oraz świetne portrety magnackie XVIII w., m.in. Wacława Rzewuskiego, Tchorzewskich, Lachowicza, Nieznanego Szlachcica). Rewelację stanowi okazały portret Stanisława Augusta M. Bacciarelliego (replika portretu w Muzeum Narodowym w Warszawie). Bogato reprezentowane jest malarstwo XIX-wieczne.

Wśród portretów „mieszkańskich” jest piękny portret hr. Tarłowskiego malowany przez A. Kokulara, obok zawieszono prace takich malarzy portrecistów, jak: J. Pitschmann, J. Simmler, P. Michałowski (portret szwagra). Malarstwo pejzażowe reprezentują — Kotsis, Suchodolski, Mallinowski, Zalewski, Szermentowski (na uwagę zasługuje słaby formalnie, ale bardzo ciekawy ze względów ikonograficznych, mały pejzaż z przedstawieniem placu Litewskiego z widokiem na pomnik Unii Lubelskiej na pierwszym planie i pałace Radziwiłłów i Czartoryskich w głębi); historyczne: J. Matejko („Unia Lubelska”), Michałowski („Huzar”), Gerson, Grottger.

Twórczość A. Gierymskiego ilustruje znany „Most w Monachium”. Nie brak oczywiście prac takich malarzy, jak: J. Kossak, J. Maleczewski (Sw. Agnieszka), Chelmoński („Przed Burzą”), Brandt, Ruszczyk, Falat itd.

Subtelne portrety Boznańskiej reprezentuje „Dama w oknie”.

MIŁOSNIKÓW malarstwa nowoczesnego zainteresuje Wojtkiewicz, Makowski („Dzieci z trąbą”), Ślewiński (Chłopiec w berecie i pejzaż), Pankie-

Dalej pokazano przemysł metalurgiczny, XVI i XVII-wieczne cynowe i miedziane konwie, dzbanki i kubki pochodzące z warsztatów cechu lubelskiego i artystyczne wyroby kowalskie — zamki, lampki, stare zegary, wśród których jest XVII-wieczny zegar pochodzenia lubelskiego. Sporo miejsca zajmuje artystycznie zdobiona broń: XVIII—XIX-wieczne szable, szpady, rapiry, pistolety, strzelby itd.

Dalszą część korytarza zajmuje przemysł artystyczny polski. Szaty liturgiczne zbierane przez ks. Zalewskiego, makaty i piękne pasy ze Slucka i Kobylki.

Na bogaty zbiór ceramiki polskiej składają się renesansowe lubelskie kafle, fajanse polskie i porcelana z Korca, Cmielowa, Baranówki, Nieborowa oraz ceramika lubelska z Lubartowa i Tomaszowa.

Na parterze w dziale zbiorów archeologicznych pokazano eksponaty pochodzące z wykopalisk prowadzonych przez pracowników Muzeum w licznych miejscowościach naszego województwa (m.in. Raciborowice — kultura czas lejowatych, Lasocin — kultura lużycka, Jaszczów, Nalęczów, Krężnica Jara, Las Stocki i in.). Pokazane są grobowce, rekonstrukcje grobów i domostw, zabytki kultury materialnej, ceramika i narzędzia z epoki neolitu, brązu i żelaza. Ciekawie opracowane zostały mapy i tablice ilustrujące chronologię rozwoju i obszar objęty życiem człowieka przedhistorycznego na Lubelszczyźnie.

Zbiory etnograficzne ograniczone zostały do Sztuki Ludowej zebranej z całej Lubelszczyzny. Po oglądanych przez kilka lat wystawach ilustrujących przemysł ludowy (tkactwo, garncarstwo, narzędzia rolnicze i gospodarskie) z wielką przyjemnością patrzy się na wystawione świątki, pisanki, wycinanki, ozdobną ceramikę, stroje i hafty.

Wśród wycinanek widzimy bogaty zestaw prac Ignacego Dobrzyńskiego z lat 1906—1955, stanowiący ciekawy materiał dla przyszłego monografisty tego utalentowanego ludowego twórcy.

Bardzo interesująco wygląda sztuka ludowa z Bilgorajskiego — malowane skrzynie, stare figurki Chrystusa Frasobliwego i bogate stroje świadczą o świetnej artystycznej przeszłości tego zakątka Lubelszczyzny. Wspaniale prezentuje się zbiór zdobionej ceramiki z powiatu Janowskiego (Łązek), Białej Podlaskiej, Łukowskiego, Chełmskiego (Pawłów). Na tle kilkunastu odmian strojów ludowych Lubelszczyzny wyróżniają się ubiory włodawskie i tarnogrodzkie (gorsety).

Pobieżny, niemal telegraficzny przegląd wystawionych zbiorów mówi o ich charakterze, a jednocześnie o celach, jakie postawili przed sobą dyrekcja i pracownicy Muzeum. Otóż dążyli oni do utworzenia przede wszystkim Muzeum Sztuki, w którym zwiedzający znalazłby jak najwięcej obiektywnie pokazanego materiału faktycznego, jak najwięcej zabytków o możliwie najwyższym poziomie, dających pełny obraz artystycznej twórczości człowieka w sensie najbardziej powszechnym.

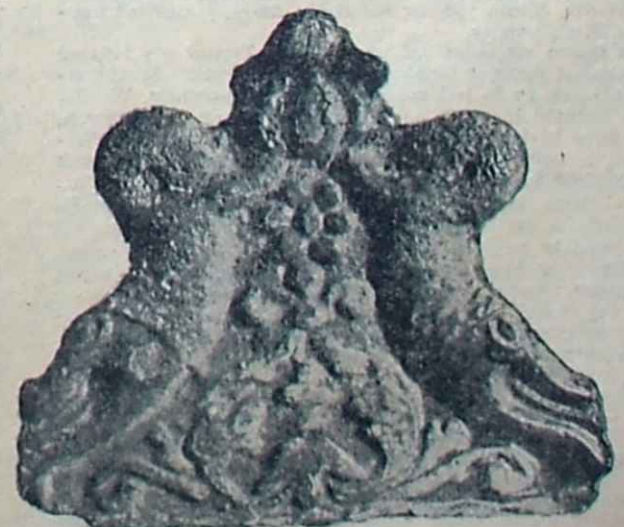
Młody zespół pracowników swoim przygotowaniem i pracą potrafił zdobyć zaufanie, poparcie i pomoc naczelnych władz muzealnictwa w kraju.

Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, prof. dr Stanisław Lorentz i kustosz tego Muzeum docent dr Jerzy Zanoziński oraz Dyrekcja Muzeum Narodowego w Krakowie — chętnie pomogli w organizacji zbiorów Muzeum Lubelskiego, za co społeczeństwo Lublina jest im bardzo wdzięczne. Dzięki nim Muzeum dostało w depozyt, lub jako pożyczkę, dużo wartościowych obrazów, bez których nie można by osiągnąć takiego poziomu otwartej Galerii Malarstwa Polskiego.

W ciągu najbliższych lat nastąpi dalsze udostępnienie zbiorów, już za rok otwarta zostanie na drugim piętrze wystawa „Rok obrzędowy wsi lubelskiej”, a z chwilą ukończenia konserwacji fresków w kaplicy zamkowej, w przylegających do niej salach utworzy się Galerię Malarstwa Polskiego, która wraz z kaplicą stanowić będzie bardzo ciekawy i cenny dział Muzeum.



Kafel z Babina woj. Lubelskie—XVI w.



N I N A

JAN HUSZCZA

W miasteczku moich studenckich wakacyj stosunek liczbowy kobiet i mężczyzn stał w wyraźnej sprzeczności z sytuacją ogólnokrajową. Młodych mężczyzn było bez porównania więcej niż młodych, jako tako wdziękami przez naturę wyróżnionych, kobiet. Nie wiem, czy na dziesięciu młodzieńców przypadało 2, 3 dziewczyny...

Nic więc dziwnego, iż przypadek zdarzył, że pewnego lata wspólnym celem zaprzyjaźnionej trójki młodzieńców stała się Nina, od niedawna przysiana do miejscowego szpitala w charakterze pielęgniarki.

To ja pierwszy poznałem ją osobiście w okolicznościach, co do których pragnąłem, aby były jak najmniej rozgłaszane. Nina najechała na mnie rowerem, gdy szedłem zamysłony jedną ze ścieżek zaniedbanego parku. Spadła na mnie jak jastrząb na kaczkę, jedno ramię kierownicy dotkliwie uderzyło mnie w bok, poza tym miałem odrapaną rękę i czoło. Obklepiła mnie plasterkami w swoim pokoiku, w jednym z drewnianych domków znajdujących się przy nadrzecznej ulicy.

Odąd regularnie w porze przedwieczornej zaczęłem u niej się zjawiać. A ponieważ byłem nieśmiały i w tak małym gronie nierozmowny, przeto — dla ułatwienia sobie sytuacji — postarałem się czym prędzej poznać Ninę z moimi dwoma przyjaciółmi: urzędnikiem pocztowym Piotrem i bezrobotnym magistrzem Andrzejem, który otrzymywał dorywcze zajęcie w magistracie jedynie w gorętszym okresie wysyłania nakazów podatkowych mieszkańcom miasteczka.

Skąd mogłem wiedzieć, że i oni — niepomiernie na moje moralne pierwszeństwo, zdobyte przez wypadek rowerowy — zainteresują się pulchną blondynką w sposób jakże czynny i że będziemy sobie wzajemnie wlaźlić w paradę?

W taki sposób pora moich odwiedzin u Niny stała się taką samą porą i dla dwóch przyjaciół.

Zjawialiśmy się regularnie, w miarę skromnych możliwości obficie wypomadowani i starannie odprasowani. Ktoś zajmował miejsce w wyplatanej z wikliny fotelu, stojącym pod fikusem, reszta w różnych pozach umieszczala swoje ciała na szerokim tapczanie.

W urozmąconej, z troską o żartobliwość prowadzonej rozmowie co chwila przyczytały się żądla, uklucia, drobne przykrości pod adresem któregoś z obecnych.

Obserwując Piotra i Andrzeja byłem głęboko przekonany, że to we mnie najsilniej rozgorzał płomień uczucia i że ja przede wszystkim muszę cieszyć się względami Niny. Nie szczędząc wysiłków, wyzuty z poczucia lojalności, starałem się kompromitować w jej oczach swoich przyjaciół.

Możliwie najśłodziej mówiłem:

- Jak tam, Andrzej, twoje czyraki?
- Andrzej miał w tym czasie jakieś czyraki pod pachami, których bardzo się wstydział.
- Jakie czyraki?
- A te, na które wczoraj maść kupowałeś!
- Maść kupowałem dla swojej siostry, gnojku! Szyderczo i nienaturalnie śmiałem się:

— Nie kłam! Przecież śmiesz się tą maścią, że wytrzymać nie można! — Choć nic nie czułem, jednak gwałtownie marszczyłem nos i szybko zrywałem się, żeby otworzyć okno: — Powietrze trzeba odświeżyć!

Ulicą szli właśnie gęsiego notariusz z rodziną na codzienny spacer w kierunku cmentarzy. Czoło pochodu stanowił on sam, starszek z trzymaną z tyłu laską, za nim szła żona, potem starsza córka, potem syn, potem młodszą córkę i wreszcie laciaty Pimpus.

Przez chwilę rozmowa wkraczała w strefę neutralną, dowcipkowaliśmy na temat notariusza. Ale ze zniknięciem pochodu znowu wracaliśmy do słownych utarceń.

— Czy wiesz, Nino, o tym... — zabierał głos Piotr, wskazując palcem na mnie — że dziś Paweł tonął i uratowała go żona doktora?

— Jak to było, opowiedzcie! — interesowała się Nina.

Piotr i Andrzej, na chwilę zjednoczeni, barwnie przedstawiali szczegóły mające uwypuklić moje zupełnie niedołęstwo.

Próżno się bronilem, choć w rzeczywistości rzecz miała się odwrotnie: to ja wyciągnąłem żonę doktora za rękę z wyrwy zdradziecko kryjącej się przy samym brzegu. Zresztą, prawdę mówiąc, żona doktora nawet bez mojej pomocy dałaby sobie radę, gdyż niegorzej pływała. Snuto jednak szczegóły dalej, ponieważ bardzo Ninę bawiły.

Czasem wpadało coś przez okno. Dawał się słyszeć śmiech i szurgot uciekającego na rowerze. Domyślałem się, że to był syn właściciela wyszynku, Witalis — świński blondyn o czerwonej twarzy i jasnych, prawie białych brwiach. Nie lubiliśmy pękatego Witalisa, rubaszego i lubiącego się w niewybrednych wyczynach. Ale Nina nie była skłonna do potępiania...

— Przyjdźcie kiedyś z nim — mówiła — szkoda chłopaka, że tak zawsze sam się rozbija po miasteczku!

Płynęły godziny, aż za oknem rozległa się wrzaskliwie wykrzykiwana aria z „Oniegiina“ o złotych dniach wiosny, które odeszły. To regularnie, zawsze o tej samej porze, wracał do domu, z lekka zawadząc o drzewa sterczące przy drewnianym trotuarze, sekretarz magistratu.

Nina, patząc zwracając na nas, wołała z przerażeniem:

- Ojej, więc to już pierwsza godzina!
- Trzeba rozcłodzić się... — padała niezdecydowana uwaga któregoś z nas.

Tak, ale kto zechce opuścić Ninę pierwszy, zostawiając na placu swoich przeciwników?

Gdy o rozcłodzeniu się mówił Piotr, to patrzył badawczo na mnie i Andrzeja. Gdy mówiłem ja, pa-

tryłem podejrzliwie na Andrzeja i Piotra. Gdy mówił Andrzej, to jakby z kolei karcili nas dwóch.

Nina, dobrze prawdopodobnie wyczuwająca sytuację, wtrącała się w sposób bez obłonek kpiący:

— Albo jeszcze posiedźcie! Co tam, do biura za wczesnie!

Stawaliśmy się ludźmi bez honoru i zgodnie udawaliśmy, że nie czujemy w jej głosie drwiny. Oświadczyliśmy:

— Skoro tak o to prosisz... Zostaniemy, ale najwyżej na kwadrans!

I znowu kwadransik przeciągał się. Czasem któryś z nas mniej fizycznie odporny, odwracał się do ściany, żeby stłumić ziewanie.

Próbowaliśmy pozbyć się Piotra. Mówiliśmy razem z Andrzejem:

— Znowu, Piotrusiu, spóźnisz się do pracy! Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że kandydatów na twoją posadę można mieć z siedemnastu i jeszcze pięciu! I to z wyższym wykształceniem! A ty masz tylko sześć klas gimnazjalnych!

Przedświt wynurzał z nocnej topieli drzewa, piasek uliczny stawał się niebieski, ogromnie znudzona Nina wreszcie rozkazywała:

— Idźcie już, chłopcy, spać!

Wychodziliśmy, ale pełni wzajemnej nieufności. Każdy myślał o tym samym: „A może Nina z którymś porozumiała się, żeby wrócił, ale bez towarzystwa?“

Pozorując powrót, w pojedynkę ukrywaliśmy się za drzewami i narożnikami domów, żeby jeszcze przez pewien czas obserwować wejście do Niny.

Tak przechodziły upalne dni i łagodne, przepelnione szumem rzeki, noce. Upolowanie dłuższego, trwającego z godzinę, sam na sam z Niną było równie rzadką możliwością jak dla rybaków złowienie sumy w powolnie płynącej przez miasteczko rzece.

Przypadek raz zdarzył, iż przed wieczorem spotkałem Ninę na ulicy samą. „Oto życiowa szansa!“ — pomyślałem sobie, usiłując wyprowadzić Ninę do parku. Tyle miałem jej do powiedzenia! Na pewno podczas dłuższego spaceru zdobyłbym się przynajmniej na częściowe wykrztuszenie ważnych dla mnie wyznań! Ale po paru minutach dosłownie jakby spod ziemi witał się z nami Andrzej, po nim zjawiał się Piotr.

Wymachując wiosłem jak olbrzymim płasim piórem, złoczącym się w zachodzie słońca, szedł Witalis na wieczorną przejażdżkę łódką. Śmiał się — chyba z nas — tak głośno, że aż przerażone wróble sfruwały z przykrywających parkan gałęzi jabłoni.

— Witalisie, zabierz i nas! — wołała za nim Nina.

Ale on tylko odburknął:

— Wszyscy się nie zmieścimy! Za mała łódka! Ciebie, Nino, to mogę wziąć!

Nina spojrzała na nas — drętwiących — ale nie zdecydowała się jakoś na propozycję Witalisa.

Odetchnęliśmy!

Raz byłem bliski szczęścia! Zgodnie, we czwórce, siedzieliśmy na tapczanie u Niny, gdy nagle zgasło światło. Elektryczność w miasteczku mieliśmy kapryśną i nieraz światło gasło. Czekać na ponowne rozblśnienie żarówki, opowiadaliśmy jakieś swoje przeżycia.

Nagle poczułem, jak w mojej, bujnej wtedy, czuwała się błoga tkliwość. „Ninusi moja! — myślałem, nie śmiejąc się poruszyć. — Zielonoszare twoje oczy... O, niechby ta elektryczność w ogóle nie zapalała się tego wieczoru!“

Złapałem dłoń Niny, nieśmiało wywiklałem ją z czupryny i przycisnąłem do serca.

Jednak wraz z rozblśnięciem światła zapiał złościwym chichotem Andrzej, on to bowiem błędził palcami wśród moich włosów, jego rękę przyciskałem do serca.

Byłem przerażony, a zapewne i błąd. W Andrzeju jednak nie wygasły widocznie resztki człowieczeństwa, gdyż nie opowiedział o tym wypadku ani Ninie, ani Piotrowi.

Strasznie w tym czasie nie lubilem spacerów, choć stanowiły one w miasteczku podstawową rozrywkę. Nie lubilem dlatego, że mi ciągle przypomiano wydarzenie w parku.

Gdy tylko nadjeżdżał ktoś na rowerze, wołano: — Uważaj, bo znowu ciebie przejadą!

Udając lek przed rowerzystami, towarzystwo uciekało na chodnik.

Zdaje się, że o mojej przygodzie wiedział także i Witalis. Gdyśmy niekiedy szli we czwórce po spryskanej księżycowym światłem ulicy — nadjeżdżał cicho na rowerze i gwałtownie dzwonił tuż za mną. Potem, dziko śmiejąc się, zniknął, zostawiając za sobą nisko dymiący kurz uliczny.

Nie pamiętam, który to był z rzędu wieczór, gdy we trójkę spotkaliśmy się na rynku. Postanawiając ruszyć za chwilę do Niny, wyrzucaliśmy sobie głupotę i niełojalność. Ostatecznie, dowodziliśmy, należy kogoś jednego zostawić z Niną, a reszta niech sobie szuka szczęścia gdzie indziej. Zgadaliśmy się co do przyjęcia tej jedynie sensownej zasady. Niestety, gdy dochodziło do próby ustalenia, kto ma być tym szczęśliwym, porozumienie stawało się niemożliwe.

Zniechęceni, w milczeniu zbliżyliśmy się do domu, w którym mieszkała Nina. Było ciemno, z ogródka — znajdującego się pod otwartym w tej chwili oknem — wiało zapachem maciejki, bożego drzewka i mięty.

Nagle usłyszeliśmy w pokoju Niny urwany, jakby protestujący szep — a po nim szybkie, przypominające plusk wody, pocałunki.

Nie wierząc swoim uszom, nie czekając odpowiedzi na pukanie, wtargnęliśmy do pokoju Niny.

W wyplatanej fotelu na biegunach siedział rozparty Witalis i powoli huśtał się. Można było domyślić się, że na fotel skoczył dopiero przed mgieniem. Nina, trochę rozkudłana i speszona, poprawiała włosy przed wiszącym na ścianie lusterkiem.

Witalis przypominał kota, który przed chwilą złapał i pożarł jakiegoś ptaszka. Patrzył na nas z jawną ironią. Bęcwał i tuman, który może nawet nie wiedział, w którym roku była bitwa pod Poltawą i kto napisał arcydzieło pod tytułem: „Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy“?!!!

(Z tomu opowiadań, który ukaże się nakł. „Czytelnika“ pt. „Z dalekich dróg“)

FELIKS CASTAN

EPISTOLA

Spolszczył Wojciech Natanson

Artyści broniący cywilizacji!	usłyszeć język poetów i śpiew barw dojrzewających w pracy pędzla.	Artyści powinni przemawiać jak narody! To nie jest wysiłek próżny. To artyści podtrzymują nadzieję w duszy ludzkiego rodzaju... Kraju, mój drogi kraju, ty także wiesz, że powinieś dorzucić jasną swą mądrość do biegu strumienia! Masz własną swoją myśl. Rozbrzmiewasz	pokorą. Lecz my szukamy sensu twego wiecznego snu. Uszy nasze są pełne ludowego dialektu. A ty znasz klucz wielobarwnych nauk. Byłbym pusty jak chodak, gdybyś mi ty nie dawał swojej pomocy. Ktoś wysłucha może mej medytacji nie rozumiejąc jak prosta jest i realna. Czyste idee nie przerażają mnie, ponieważ	wywodzę je najściślej od tych, co żyją w moim kraju blisko nich i w dobry sposób w czasie, który włada wolnością. Artyści, czy słyszycie owo dreptanie po ziemi? Ojczyzna potrzebuje ziemi by wychować naród. Ach, jeśli śmierć na mnie czyha, to przynajmniej dzieło mego życia byłoby walką najsprawiedliwszą. Dajcie mi głos by odbyć obchód pieśni! Milknę...
-------------------------------	---	---	---	---

Wiersz ten został napisany w języku okcytańskim (langue d'Oc) przez poetę zamieszkałego w Montauban. Ruch okcytański, zainaugurowany przez Mistrala, udzielającego pomocy prześladowanemu przez gen. Franco, bliskiemu sąsiedztwem ruchowi katalońskiemu. Myślę, że warto poznać z tym zjawiskiem naszych czytelników.

W. N.

MA to chyba w sobie coś z opędzania się od psa — pomyślał Sławek, dziwiąc się swemu określeniu. „Tak, ma to w sobie coś z obrony przed natrętnymi nagabywaniami oswojonego psa”. Przez cały czas zdawał sobie z tego sprawę, lecz teraz myśl ostatecznie się skrytyzowała. I dlatego tętno bije się bez radości, bez spodziewanej radości, z jakimś tylko pustym zadowoleniem?

„No cóż, postąpiłem jak bydlę... Tak, właśnie jak bydlę”. Mimo tej konkluzji nie odkrył w sobie duszy perfidnego złoceńcy. Uśmiechnął się blado.

Wiatr pedząc chmury gasił lub zapalał gwiazdy na zielonkawym stropie nieba. W miasteczku akademickim świeciła się już ta znajoma mu pepita okien. „Ze też nie mogli tych bloków większych zbudować. Znacznie nowocześniejsze niż to wyglądało”. — Próbował myśleć o wszelkich głupstwach, byleby nie o tym, co przeżył przed chwilą. Bloto chłupało pod nogami. W oczach tańczyły pijane wiatraki latarni.

„A więc to już po wszystkim? Głupie co prawda pytanie... Jakież to wszystko jest głupie. W myślach lustrował setki tych nocy, gdy leżąc w łóżku, patrzył w blado oświetlony uliczną latarnią prostokąt okna i — marzył. Marzył o takiej właśnie chwili, jaką przeżył przed godziną. Wymarzył był już szczegóły i warianty tej wspaniałej chwili i oto — przyszła.

Od samego początku rzeczy układały się dziwnie: zatłoczone zawsze mieszkanie, pełne dymu i cierpkiego smrodu. Zasmarkane młodsze rodzeństwo i zawsze cuchnący tapczan. Ilekróć przychodził, jej matka witała go nie to uśmiechem, ni to grymasem, wyrażającym coś bardzo nieokreślonego. Stary podobno szemrał, że wcale takich gości nie potrzebuje.

Przypomniał sobie, właśnie wtedy gdy wzbraniał się przed jej pocałunkiem, którym chciała go obdarzyć na pożegnanie, słowa eleganckiego pana — pomagał mu wkładać do taksówki pijaną kobietę:

— Gdzie ją pan powiezie?

— Gdzie ją powiozę? Doprawdy na najwęższe pytanie nie było cię stać. Przecież nie po to ją spoilem, by teraz odstawić do starej, zidiociałej matki. Zresztą, idź pan sobie do jasnej cholery.

I poszedł, wierząc w to, że ten miłganc jest po prostu bydlakiem. Uśmiechnął się przypomniałszy sobie tę scenę i wtedy Alka pocałowała go w policzek — poczuł wilgoć i gorąco jej warg.

Bloki były już zupełnie blisko. Pary wklejone w siebie stały przed drzwiami akademika, w cieniu filarów. Patrzył tępy wzrokiem na nieplochlliwe cienie. Przecież kiedyś był czas, gdy sam chodził na zabawy, nawet najpodlejsze, w tych zatłoczonych halach. Był czas, gdy sam wystawał tak pod drzwiami. „Co za głupota. Za rok kończę studia i będzie mi się to wydawało wspaniałe. Tak, wspaniałe”. — dorzucił ironicznie. — „Wszystko to jest takie „wspaniałe”. Niedorzeczność. Przecież powinienem wiedzieć, że to, czego już nie ma, jest piękne, bo nigdy nie wróci. Jest dobre, bo tylko dobre strony z tego się wydobywa. W ten sposób można zawsze udowodnić, że miało się szczęśliwe życie. A czy można odczuwać chwilę taką, jaką ona naprawdę jest?”

Zaspany portier okutany w koce otworzył mu mrużąc pod nosem coś, co było chyba zwykłym przekleństwem. Szedł czarnym tunelem korytarza, glucho odbijającym kroki. W pokoju wszyscy już spali. Rozebrał się po ciemku i przy jękiwym skrzyknięciu sprężyn wwalil się w łóżko.

Domy jak pudełka po zapalkach, szczerzące czerwone nie otynkowane ściany. Zabłocone chodniki i jezdnie. Czerwony autobus przy podejściu — oto lubelskie miasteczko akademickie.

Jesienią bloto i ogromny strumień zimnego powietrza przebiegający przez szeroki przepust przy jednym z pierwszych domów. Latem kurz, rudawy drobniutki pył lessowy. Wiosną znowu bloto i znowu ten nieznośny prąd powietrza. Nie ma tu nic, na czym odpocząć mogłoby oko: czerwona cegła i rudy less. Między blokami spośród gruzu i zardzewiałych drutów pnie się trawka. Nocą z okien dolatują porozumiewawcze okrzyki — to młodzi umawiają się na dzisiaj.

Bloki czerwone nie otynkowane, domy jak paczki zapalek.

Domy płaskie i proste. Tu ten podwójny — to A i B, mieszkają w nim kobiety, a tam, od tego zastłoniętego zieloną firanką okna — zaczyna się blok męski.

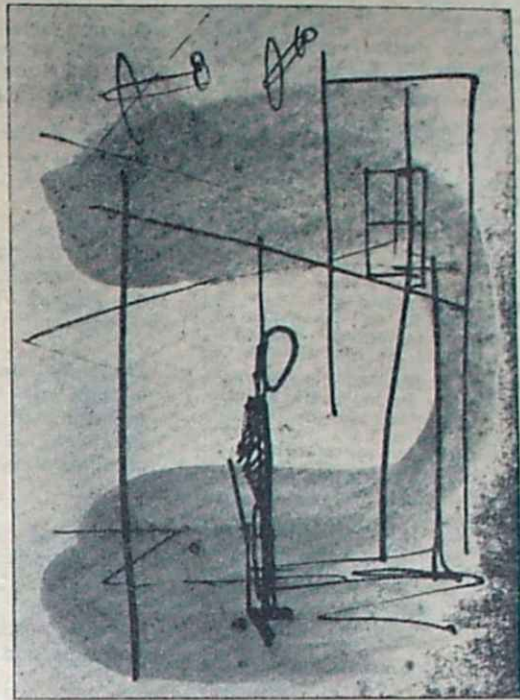
Chodnikami idą ludzie, są młodzi i ubrani różnie — najczęściej skromnie, jeśli już nie biednie. Bloto pod ich powykrzywanymi butami rozstępuje się, by potem wcisnąć się podstępnie do środka. Wszystkich bez wyjątku wchła-

LUDZIE wskazywali na niego stukając palcami w czoło. Ale najgorsze było to, że zabraniali nam chodzić po pokoiku na poddaszu. A tam było klawo, zwłaszcza gdy poczciarz przynosił emeryturę. Wtedy on schodził do sklepu i kupował nam cukierki: krówki i irysy. Dla siebie przynosił lizaka, którym można było zasłonić oko. Pamiętam, całymi dniami wysiadaliśmy u niego zabawiając się rzucaniem papierków do kosza. Gdy opowiadał, przybijał Eneasa do krzyża lub przeciągał wielbłąda przez ucho igielne. Potem cmokał i zaraz zaczynał historię o Atlasie, który świat cały utrzymywał na swoich ramionach. Atlas odszedł i Chrystus musiał utrzymać świat na swojej głowie. Na zakończenie dodawał, że Mejsasz zawsze wisił pionowo. Tak opowiadał nam on, stary z pokoiku na poddaszu, którego nazywali „stukniętym”, a który bawił się z nami w ciuciubabkę. Chodziłem do niego obżerać się cukierkami, a gdy zaczynał opowiadać, przybierałem kpiącą twarz mego ojca. Prawda, miałem już długie spodnie i chodziłem do czwartej klasy.

Któregoś dnia zbudził mnie warkot samolotów i zszedłem do piwnicy. Zaraz przypomniał mi się on, a huk samolotów łączyłem z odejściem Atlasa. Dziwne, ale w piwnicy czułem ciężar nieba i spróbowałem unieść go dłońmi. Stałem tak z zapartym oddechem, nie mówiąc ani słowa. Zaraz huk samolotów odleciał i ludzie wyszli na podwórko. Tam był on. Wisił pionowo na trzepaku, a chmury opierał o swoją głowę. Ludzie potakiwali: „wariat”. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego odleciały samoloty. Tego dnia nie było więcej nalotów i zaczęłam wierzyć, że zostałam Atlasem. Wieczorem zmówiłem do niego paciesz, jednak w nocy drżąc ze strachu schodziłem do piwnicy. Już nie próbowałem podnosić nieba.

ja jan

ON



Domy - pudełka

JAN ZDZISŁAW KOLANO

(Debiut)

niąją wejściowe drzwi pięciu bloków. Tam, ten ostatni dom o większym zagęszczeniu okien — to blok E, tam mieszkają studenci WSR, ten tu bliżej to C — Akademia Medyczna. Ten dalej to A i B — UMCS. Niezła, psiakrew, mieszanka.

— Idziesz?
— Romek, powiedziałem już raz, nigdzie nie pójdę!
— Nie, to nie, żegnaj. Sądzę, że przyjdzie koza do woza. No cześć, wychodzę.
— Do widzenia.
Zbiegł szybko, rozsypując kaskadę rytmicznych uderzeń obcasami o cement. Na czwartym zakręcie społką konstelacją siwych panów. „Co, znowu kontrola” — pomyślał. — „Szlag by trafił tego przekłętą majora, nie mieli go gdzie wlepić tylko tutaj, żeby zatrzymał życie studentom. Na ulicy przywitał go mrok i wataha rozwydrzonych miokosów.

— Znowu jesteś zalany jak świnia — zagadnął go ktoś z boku.
— A, cześć Jurek. Nie poznałem.
— Nie dziwię się, jesteś zakropiony.
— Zamknij mordę. Kraczesz i kraczesz, jakbyś sam nie pił.

— No pewnie, za kolnierz nie wylewam — zgodził się niechętnie chłopak, ale nie tak codziennie jak ty.
— Daj spokój. Wiesz, coś mi nie pasuje z żoną. Uczy się teraz. Miała wielką pretensję, że się upiłem. Co ją to obchodzi.

Która godzina?
— Za piętnaście siódma.
— Zdaje na siódmą do stacji krwiodawstwa na Pierwszej Armii?
— Sprzedasz krew i znowu się urzniesz?

— Może, nie wiem. Zresztą co tu robić w tym cholernym mieście. Nawet kurewką uczciwej nie znajdziesz.

— Na którym roku jest twoja żona?
— Na czwartym prawa, nie widziałeś jej nigdy?

— Nie.
— Nie masz czego żalować, jest brzydka jak dziesięć nieszczęść. Nabarałem się, myślałem, że ma forse, a okazało się, że jest goła.
— No serwus, idę tu na kolację.
— Cześć.

Przeszedł ostrożnie w poprzek jezdni, po której całą szerokością płynęła brudna woda połyskująca słabo w świetle odległej latarni. Wiatr wiał mu prosto w twarz. Idący w przeciwną stronę ludzie omijali go przezornie. Zataczał

się lekko. „Piakrew, czy nie poznają się przypadkiem, że piłem wódkę? Nie przyjmą wtedy krwi. Mogę chyba dzisiaj oddać ze trzysta mililitrów. Nie, trzysta nie, osłabiłoby mnie to za bardzo. Oddam tylko dwieście, będzie za to około trzysty złotych, a wtedy... A wtedy co? Wódka? No nie, forsa się przyda”.

Minęła go hałaśliwa grupka młodych ludzi. Zbliżały się latarnie Krakowskiego Przedmieścia. Zza poskręcanych drzew Małpiego Gaju prześwitywały mdło okna KW.

„Cholera, przypomina to coś bardzo prostytucję. Taki handel krwią, ostatecznie jaka różnica. Za kilka lat będę konował na jakiejś zabitej Janówce i zarobię kilka tysięcy miesięcznie. Wieśka skończy to swoje prawo i chyba postara się o rozwód, przebąkiwała już coś o tym”.

W stacji krwiodawstwa zabawił krótko. Włożył rękę w otwór i natychmiast poczuł chłód parującego eteru, potem ostre ukłucie igły. Na chwilę pociemniało mu w oczach. Biała ściana zachwiała się. „Osłabienie” skonstatował. Obciągnął rękaw koszuli, przy okienku pobrał pieniądze i szybko wyszedł na ulicę. Skierował się ku śródmieściu.
— Gdzie lećisz, Roman? — zapytał go chudy dryblas, gdy przechodził koło drzwi Ludowej.

— Właściwie nigdzie. Tak się włóczę.
— Nie masz ochoty coś postawić? Mam cholerną chęć na coś mocniejszego, tak mnie rżnie po flakach, że chlapanąbym sobie trochę.

— Ostatecznie mam parę centów, możemy coś zorganizować.
Nabita ludźmi knajpa przyjęła ich zapachem wódki i swędem spalonego na wzniesienie stolika.

— Co z tą twój Alą — zapytał Roman bez uczucia. — Masz jeszcze jakiego skrupuły względem tej baby? — rzucił nagle widząc, że tamten poruszył się niespokojnie.

— Noo... chyba już nie... Sławek ugniatał nerwowo papierosa.
— Nie myśl, że jestem naiwny i mam jakieś tam skrupuły wobec kobiet — dodał pośpiesznie.

— Tak, tak, uważaj mój drogi, bo wpadniesz śmierdząco, a wtedy tylko proweny, strzykawki i piorun jeszcze wie co, by kiedyś nie narodził się brzdąc.

„Królowo — krzyknął na kelnerkę — pół litra i dwa schabowe”. Dziewczyna

w nylonowym fartuchu odeszła w stronę lady zamówić wódkę.

*
Brudne jak zawsze schody. Mroczne korytarze, rząd kremowych, trochę szpitalnych drzwi. Ciasne pokoiki, gdzie gnieździ się po sześć, czasem nawet siedem kobiet. W szafach na walizki śpi ktoś, kto nie miał szczęścia otrzymać przydziału. Na stole, na łóżkach porzucane spódnice, koszule, pończochy.

Wokoło smętne albo zdenerwowane twarze. Kobiety, młode kobiety, przed małym lusterkiem. Kobiety nad książkami. Kobiety w łóżkach. Młode skoszarowane kobiety, mieszkające po sześć i siedem w jednej małej izdebce. Wzdłuż pokoju sznury z uprąną bielizną. Przesuszone centralnym ogrzewaniem powietrze szybko wchłania wilgoć — szmaty schną na poczekaniu. Ładne, brzydkie, naiwne, rutynowane uwodźciki, zawiedzione młode kobiety. To skondensowanie ich na śmiesznie małej przestrzeni pozbawia je czegoś szczególnie dla nich ważkiego — wyzuwa je z kobiecości. Czyni z nich coś na kształt żołnierzy, odbiera im ich własną indywidualność. Usposabia złośliwie, agresywnie do każdego, kto chce wedrzeć się w ich pokój i wnieść doń coś nowego, obcego. Dziewczęta radują się same, cierpią same. Nikomu nic do tego. Takie jest niepisane prawo tego społeczeństwa kobiecego.

Posiedźcie tylko jeden dzień w oszklonej budce portiera, popatrzcie na te dziewczęta. Przechodzą szybko, dumnie niosą głowy, odrzucają nerwowo włosy. Popatrzcie na nie.

*
— Zdaje ci się chyba, że jesteś strasznie pokrzywdzona?

— Nic mi się nie zdaje — odparła cierpko.

Hałas kawiarni wzmagal się. Pod ścianą zabryzganą jakimś święństwem starszy łysawy pan tłumaczył coś kobiecie, w jej włosach wily się srebrno pasma. Chwytała go szponowatymi palcami zakończonymi wiśnłowymi paznokciami za rękaw jesionki, widać wyraźnie podniecona wypitym winem.

W jakim wieku madrzeją kobiety?
— Jak ci się podoba tych trzech efebów? — spytał Roman tym samym tonem.

(Dokończenie na str. 3)

Z DALEKA O BLISKIM

PRZYTOCYLIŚMY niedawno sarkastyczną wypowiedź Gorkiego o krytykach literackich, zaszerpnęła z jego listu do Leonida Andriejewa. Literaturna Gazeta drukuje jeszcze inny list, w którym znajdujemy nie mniej charakterystyczne uwagi o trudnościach pracy redakcyjnej. „Przy chorobliwej ambicji, na jaką cierpi obecnie nasi rodzimi literaci — mówi Gorki — czyż można z właściwym skutkiem, nie naradzając się na pretenzje, powieścić któremuś z nich — „przyniesieś rzecz napisaną blade, bez zamiatania do sprawy?” Teraz wszyscy piszą znakomicie, każdy wierzy święcie, że jest wielkim mędrcem, bez wątpliwości twórca „nowego stylu”. I wszyscy hasają po łące literatury jak rozbrzykane cielećta.”

AUTOR artykułu pt. „Bezdroża lubelskiej Estrady”, wydrukowanego w „Kurierze Lubelskim” z dn. 14 lipca, bezsta wymieniona w tytule placówka za to, że jeden z jej zespołów obwozi po terenie „Szczęście Franca” ... Ritzera. Paryski tygodnik Les Lettres Françaises, w numerze z 21 czerwca, umieścił pod reprodukcją pewnej ryciny podpis: „Martwe dusze... Turgieniewa. Oto jak dalece ci parzykanie wzorują się na lublinianach! Jednakże równa znajomością literatury ojczystej jeszcze się nie wykazali.

DZIENNIKARZE zapuszczają się do kraju Ghana nie będą mieli takich kłopotów. Bombajskie pismo United Asia informuje, że literatura sensu stricto, z nazwiskami i tytułami, tam nie istnieje.

WZYWALAJĄC się z kręgu zjawisk umjanych, powtarzamy z tygodnikiem Sonntag wiadomość, że w Tyraniu odbył się niedawno pierwszy kongres albańskich pisarzy i artystów. Waga tego rodzaju zjazdu jest szczególnie wielka w kraju, który zaledwie dziesięć lat temu miał jeszcze 90% analfabetów.

MIŁOŚNIKÓW twórczości Lope de Vegi (z Teatrem im. Osterwy na czele) zainteresuje komunikat czeskiego tygodnika Literární Noviny o tym, że w południowej Francji, w Montauban, grają obecnie „Owce źródła” tak, jak grano tę sztukę jeszcze w XVII w., — w połączeniu z zapomnianym intermedium pisarza o dwóch głuchych, którego rękopis autorski odnalazł się w paryskiej Bibliotece Narodowej.

m. b.-r.

„SKRZYDŁA”

Wiesława Rusteckiego

JANINA BRZOSTOWSKA

Ten debiut nierówny, ale posiadający wiele pięknych strof, przypomina, że dobre wystawia sobie poeta świadectwo, gdy przez poezję jego płynie nurt spraw dla człowieka najistotniejszych. Wierszami swojego zbiorku stwierdza Rustekki, że nie tylko patrzy na sprawy i ludzi, ale podporządkowuje to swoje patrzenie wewnętrznym przekonaniom. Dzięki temu, czerpiąc swój materiał zarówno z przeżyć codziennych, jak z zamyślenia nad przeszłością i przyszłością, przypomina:

Oto w mroku
sumienie — jak odbicie w lustrze —
stałe przede mną.

Ta poezja z okresu pierwowocznego dla całego narodu dramatycznych sprzeczności nie krzyczy jednak, nie woła pełnym głosem. Raczej w rozważę bogata pyta:

Jakże jest mój udział
— powiedz —
w krzywdzie dzisiejszej,
jaką cenę milczenia i krzyku
chłodny umysł przyjmie?

Na błędy i słabości ludzkie rzuca poeta światło nie jaskrawe, o jednym zawsze przecieć pamięta:

Gdy opowiedziałem się
za dobrem i jutrem,
kto mi w sakwę sumienia
krzywdę dodał, jak kamień.

Tej troski nie zagluszają ani tok spraw osobistych, ani miłość do sztuki, bardzo żywa w tych wierszach. Przewijają się ona przez tomik, dając mu humanistyczną wymowę i umacniając dość jednolite już i wyrobione stanowisko poety wobec otaczającego go świata.

Do najlepszych wierszy tego typu należą „Skrzydła”, gdzie tragizm wojny znajduje przejmujący wyraz w kalektwie dziecka, „Drobina soli”, „Mówię: ocalałem”, „Człowiek z Hiroszimy”, „O moim kraju”, „O świecie — piosenka” bardzo dobry, skrótowny wiersz, — i wreszcie: „O szczęściu”.

Przecież odróżnić umiem
dłoń kata od ofiar dłoni
i fałsz wszechzogny do serca
z sercem własnym bym wydarł.

To już są słowa o dużej wadze, niedwuznacznie skreślone. Zachowują swoją wymowę.

Rustekki dzielił losy swego pokolenia zarówno w czasie wojny, jak i po woj-

*) Wiesław Rustekki „Skrzydła”, P. I. W. Warszawa 1957 r.

ci się tak zdarzało, a ja — rzuciła teraz już ostro — nie mam zamiaru całe życie rozgrzeszać cię. Skończysz tę swoją medycynę, to i tak nie będziesz mnie potrzebował.

— Ależ, Wieśka...
— Nie mów nic.
— Chciałem ci wyjaśnić...
— Nie chcę nic wiedzieć. Idź sobie, gdzie chcesz. Formalności związane z rozwodem załatwię.

Zawróciła gwałtownie i szła przed siebie, nie dostrzegając, że ludzie na chodniku oglądają się za nią.

— Pani jest sama, ja też jestem sam. Mieszkam tu niedaleko. Pójdziemy?

— Dureń. Stary dureń.

— Nie?... Dziwek w Lublinie jest dość.

Biegła prawie pustym chodnikiem Krakowskiego Przedmieścia z zadartą głową pełną pustki i huku. W uszach natrętnie dzwoniło jej: „Jak ci się podoba tych trzech efebów?... Ty także jesteś efebem. Do diabła, nie będę o tym myślała. Właściwie nie wiem, w jaki sposób dopuściłam do tego małżeństwa... A jednak... Cóż, nabrałam się i trzeba to będzie odpokutować”.

Wiatr rzucił jej pasmo włosów w oczy, odgarnęła je nerwowo.

Jan Zdzisław Kolano

Nowe książki

ALEKSANDER KAMIŃSKI:
„KAMIEŃ NA SZANIEC”

Pierwsze wydanie „Kamieni na szaniec” ukazało się, jeszcze w czasie okupacji jako druk konspiracyjny. Książka ta cieszyła się dużą poczytnością i nie miała słabą. Stało się to nie dzięki wartości artystycznej dzieła, o powodzeniu jego zadecydował przede wszystkim sam temat. Kamiński opisuje w „Kamieniach na szaniec” bohaterstwo warszawskich harcerzy, walczących z okupantem, dzielnych szeregowców z grupy „Zoska”, „Alka” i „Rudego”, którzy bez drgnienia powiek spoglądają śmierci w twarz. Znakiem udają się autorowi sceny potyczek, zamachów i akcji. Są tak, jak i portrety chłopców, żywe, mocne i plastyczne.

Na książkę tę należy patrzeć, jak na dokument, na prawdziwą, krwią tętniącą kartę z dziejów okupacji.

Na utworze tym powinna wychowywać się nasza młodzież, kształtować swój charakter, uczyć się pięknych wzorów bohaterstwa.

Prasa już niejednokrotnie zarzucała książce A. Kamińskiego „misticzność”, mglistość ideologii, skrajny idealizm, nie dostrzegając tych wartości, jakie cechują tę pracę. To, co pochoptnie nazywamy „misticznością” jest po prostu wiernym odmalowaniem ducha harcerskiego, atmosfery, panującej w walczących batalionach.

Dlatego nierozumiale wyją się trudności, na jakie napotykała ta niewinna i naprawdę wychowawcza książka w ciągu ostatnich dziesięciolecia. Uznano ją za dzieło zakazane i wręcz niebezpieczne dla młodych umysłów.

KAROLINA BEYLIN:

„OPowieści WARSZAWSKIE”

Z przyjemnością bierzemy do ręki „Opowieści warszawskie” Karoliny Beylin, wydane przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Już sama szata zewnętrzna tego dzieła zachęca do lektury. „Opowieści” wydrukowano bowiem na pięknym papierze, ładną i czystą czcionką, a tekst ozdobiło licznymi rycinami, przedstawiającymi Warszawa w siedemnaścym, osiemnastym, oraz dziewiętnastym stuleciu. Trzeba podkreślić bardzo trafny i staranny dobór materiału ilustracyjnego.

Ale i treść „Opowieści” nie rozczaruje nawet najbardziej wybrednego czytelnika. Autorka zamknęła w poszczególnych rozdziałach historię Warszawy na przestrzeni prawie trzech wieków. Od czasów Władysława Czwartego, aż po wybuch rewolucji 1905 roku. Wiele miejsca poświęciła dziejom teatru zwłaszcza w epoce Stanisławowskiej, a potem scenie na przelomie dziewiętnastego i dwudziestego stulecia. Naturalnie, mówiąc o teatrze, czyni to z wyjątkowym znanstwem i pasją. Dużą uwagę poświęca Karolina Beylin stronie obywatelskiej stolicy, ludziom poszczególnych epok, ich życiu i najważniejszym wydarzeniom tych czasów. Autorce udało się stworzyć w „Opowieściach” atmosferę starej, zamierchłej Warszawy, a to już sukces nie mały.

„Opowieści warszawskie” czyta się bardzo lekko, jak niesfrasobliwą gawędę. Książka może liczyć na niejedno wydanie.

jn

Domy — pudełka

(Dokończenie ze str. 7)

— Nic mi się nie podoba i o nic mnie nie pytaj. Mam wrażenie, że możemy zupełnie mądrze milczeć. Za chwilę i tak odejdę.

— Miałaś zawsze teatralne skłonności.

— Dziękuję za uznanie. Chyba nie myślisz, że wyciągnęłam cię tu, by słuchać twoich głupich żartów. Widzisz, jesteśmy małżeństwem zaledwie rok, a już musimy bardzo poważnie pomyśleć o rozwodzie. Nie wyobrażam sobie życia z tobą. Nie wierzyłam nigdy, że mężczyzny nie można zmienić. Pięsz i nawet nie wiem, skąd masz pieniądze na wódkę. Rodzina nie przysłała ci nic, ojciec wypędził cię z domu jeszcze przed naszym ślubem. Musisz zajmować się jakimiś brudnymi sprawkami. Dziwię się, że jeszcze nie odebrano ci stypendium, chociaż dawno powinni to zrobić. Ożeniłeś się ze mną, bo myślałeś, że mam pieniądze i że w ten sposób skończysz studia. Zawiodłeś się — bardzo dobrze, masz jedną nauczkę więcej. Odejdź. Nie wiem, czy bez mojej pomocy uda ci się skończyć studia, to mnie nie obchodzi. Nie plac — ludzie patrzą na ciebie jak na idiotę. Wyjdźmy stąd.

Przywołała kelnerkę i zapłaciwszy pchnęła go do wyjścia. Tłok przy drzwiach nie pozwolił im szybko opuścić zadymionej kawiarni.

— Zapnij się, zachorujesz — i tak jesteś błąd jak wymoczek. No, przestałbyś się mazać wreszcie.

— Wieśka — zaczął rwącym się głosem — jak Boga kocham, już więcej nie... To mi się zdarzyło jakoś tak... — urwał czekając na odpowiedź.

— Zdarzyło ci się jakoś tak. Zawsze



Kafel lubelski — XV w.

Rysunki w numerze: Tytus Dzieduszycki